



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy  
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

### TRADYCJA I PRACA KOBIET W HOLANDYI.

(Dokończenie).

Do przymiotów Maryi Tesselschade dodają współczesni i przymiot gospodarności. Jak długo starsza jej siostra Anna, przebywała z nią razem w domu rodzinnym? nie wiadomo, a przynajmniej nie można dojść do tej wiadomości ze wspomnień, przez prof. van der Vyk zebranych. To wszakże nie ulega wątpliwości, że piękna i utalentowana patrycyuszka amsterdamska była gospodarną ojcowskiego domu rządczynią, gdyż ta gospodarność zaznaczywszy się w jednej z najważniejszych chwil jej życia, weszła do jego historii. Albert Dürer, malując melancholię, przedstawił ją w postaci smętnej, łagodnie zrezygnowanej kobiety, z ciężkim pękiem kluczy u pasa; klucze przecież, zamykające kufry i kredensa ojcowskiego domu, nie zdawały się ciążyć Maryi Tesselschade i nie rzuciły na jej piękność mgły melancholijnej. Może szczęśliwie praktyczna kazała je sobie wyrobić kunsztem artystycznym, w każdym razie umiała je nosić w sposób malowniczy, gdyż poeta który oddał jej serce na ślub wiernej miłości, ujrzał ją raz pierwszy piękną i czarującym wdziękiem pociągającą wśród zajęć gospodyni. Bredoroo najznakomitszy tragiczny poeta Holandyi, przybywając po raz pierwszy w towarzystwie innych przyjaciół domu kupca Vischer, do jego willi zamiejskiej o porannej godzinie, zabłąkał się wśród nieznannej mu miejscowości i wracając z przechadzki po ogrodzie, zaszedł do jakiegoś przybytku tajemnicznie niewieścich, gdzie ujrzał nieznaną sobie jeszcze Maryą w prostym stroju ówczesnych kobiet holenderskich: w pasowej sukiennej spódnicy, czarnym gorsie, na którym krzyżowały się białe końce muslinu, ostatniącego nie utrefioną jeszcze główkę. Zaprzątnięta była koszem jaj, a że spotkanie miało miejsce

w początkach lata, zielone pęki młodych jarzyn — rzepy podobno — tworzyły na stole obok kosza garnitur akcesoryjny. Nie było to tło dla muzy tragicznej, która zapewne objawiałaby się w innej draperii, Bredoroo przecież stanął zachwycony w otwartych drzwiach ogrodu, a Marya, wiedząca o przybyciu poety wraz z innymi gośćmi, domyśliła go się w nieznanym i powitała wesoło, przepraszając tylko, że musi pierwej skończyć zadanie gospodyni, zanim będzie mogła znaleźć się obok niego w komnatach gościnnych. Wesoła ta sielanka, czysto holenderskiej szkoły, była przecież prologiem do długiego i smętnego dramatu, była w życiu Maryi Tesselschade chwilą stanowczą, która ją zesłała śmiejącą się w poranek letni, aby rozstrzygnąć losy jej życia i stać się ich przeznaczeniem. Bredoroo pokochał piękną dziewczę, ofiarował jej swe tragedye, związał ją w tem ofiarowaniu „bogato w sztuce obdarowaną” i został zarówno kochanym, ale wielka w ówczesnym historycznym momencie Holandyi przeszkoda stała między nimi.... Ona była katoliczką, on protestantem!

Kochali się, ale połączyć z sobą nie mogli i już nie ciężarek jakiś żelaznej rzeczywistości padł przynietającą melancholią na wesołe dotąd serce kobiety, ale najwyższy ideał ludzkości, który niebem całem rozdzielił z sobą dwoje kochających. W tym to czasie nieszczęśliwej miłości Marya zaczęła pisać i została poetką pod podwójnym namaszczeniem miłości i cierpienia. Tak po wesołym poranku przyszedł dzień życia smętnie zamglony, w tęsknocie za nieosiągniętym szczęściem płynęła i upłynęła jej młodość. Piękna, bogata, sławna w swoim narodzie, zdawała się mieć wszystko, co stanowi urok życia, a nie mogła dostać tego, co Bóg rozdaje do koła najprostszym, najuboższym. Poezye Maryi Tesselschade nosiły też na sobie piętno smutnej rzewności, ma być to liryka bogata w głębokie uczucie i dar słowa niewymownie słodkiego, poetka zatem zajmuje w historii literatury holenderskiej niepospolite miejsce i do dziś dnia bywa czytana i ceniona przez czytelników delikatnego smaku i wyższego uczuć nastroju. Śmierć wreszcie przyszła rozdzielić dwa wierne

serca. Bredoroo umarł, a Marya licząca wtedy rok trzydziesty uważała się za wdowę, której odtąd ma już starczyć na życie pamięć straconego ukochania. Poezya pomagała jej do tego i zostawiona sama sobie, Marya byłaby tak szła drogą żywota, podnosząc swój ideał duchowy coraz wyżej nad szczęście ziemskie. Ale ojciec i rodzina chcieli ją widzieć szczęśliwą w inny, zwyczajniejszy sposób i nalegania ich dopięły nakoniec celu. W sześć lat po śmierci ukochanego człowieka Marya poszła za mąż, zaślubiając zamożnego szlachcica van Krombelch. Znaczącą jest rzeczą, że wraz z zawartem małżeństwem przestała zupełnie pisać i teraz wszystkie prośby i nalegania przyjaciół nie już wymódz nie mogły. Odpowiedziała nalegającym, że obowiązki żony i matki nie dadzą się pogodzić z literacką pracą pisarki i muza jej oniemiała stanowczo.

Czy poezya musiała u niej zstępować w te głębiny serca, które teraz chciała zostawić w nienaruszonym spokoju? Potrafiła jednak utrzymać równowagę artystycznej swej natury, rozpościerając na domowe otoczenie sweje wszystko to piękno, którem kobieta może ozdobić życie rodzinne. Wspomnienia współczesnych mówią o wspaniałych ogrodach i rzadkich kwiatach, które chodowała, a w tych to czasach również zasłynęła w kunsztownych robotach igłą: w wypukłym hafcie kolorowych jedwabiami, zwanym „en relief” oraz w wyrabianiu szczególnej piękności koronek, które były w Niderlandach jak gdyby narodową sztuką kobiet. Była to nawet na średniowieczny sposób strzeżona tajemnica narodowego przemysłu niderlandzkiego, rozpowszechnionego dopiero po Europie, gdy emigrująca za rządów księcia Alby ludność, rozniosła go po świecie.

Muzyka została tylko wierną towarzyszką Maryi Tesselschade w tym drugim okresie jej życia. Dawne stosunki młodych przyjaciół trwały nierozzerwanie i jak niegdyś przybywała corocznie w odwiedzinach do zamku Muyden, gdzie muzyka to jest śpiew, był znowu na jej dział przypadająca danina, którą przynosiła do ogólnej summy artystycznych zapasów stowarzyszenia Muyder Kring. Dnie jej pobytu wśród jego członków były dniami świątecznymi,



a znakomici goście, których gospodarz — Hooft — zwykle wtedy spraszał, czuli ożywczy wpływ jej ducha, który zawsze jaśniał dawną żywością myśli i świetnością roztaczanych powabów. Marya została matką dwóch córek, namiętnie kochanych, i otoczyła ją ciepło uczuć, tworzących dla jej serca jak cichy i pogodny dzień, ku jesieni przechylającego się lata. Ale nagle powiał wicher nieszczęścia, jedno z ukochanych dzieciątek zostało jej wydartem przez ospę, a w kilka dni potem ojciec poszedł do grobu za dzieckiem i Marya Tesselschade, po pięciu latach szczęśliwego małżeńskiego pożycia, została znowu osamotnioną.

Cierpienie jej było teraz ogromnem i boleśń palącą. Nie wiem jak stały wtedy jej stosunki rodzinne, czy ojciec żył jeszcze, czy gorąco kochana siostra była jej bliską? ale pamiętniki ówczesne wskazują czułe starania przyjaźni. Otoczono ją kołem pocieszających, a przynajmniej ciągłej przytomności cierpienia odejmujących wpływów. W tej smutnej epoce Hooft nauczył ją po włosku i zapoznał z arcydziełami włoskiej literatury, pod natchnieniem tego tkliwego przyjaciela przełożyła na język holenderski *Wyzwoloną Jerozolimę* Tassa. Tłumaczenie to, któremu oddawano najwyższe pochwały, zaginęło na nieszczęście dla literatury holenderskiej, przecież dla ducha tej, co je dokonała, dzieło nie zostało straconem i wypełniło zadanie swoje. Myśl Maryi Tesselschade wróciła na tory dawne, poezya otworzyła jej znowu swoje jasne dziedziny ideału i okolona jak za dni młodości blaskiem na nowo wzmoczonej sławy i sztuki, mogła była posiadać szczęście, jakie zwykle dostaje się młodości. Znowu uderzyło dla niej serce niepospolite, serce poety, którego przyjaźń przeszła teraz dla wdowy w gorętsze uczucie miłości. Vondel, chcąc ją pozyskać sobie na nierozzerwany związek małżeński, przeszedł na katolicyzm, ale daremnie. Marya Tesselschade odrzuciła w nim kochankę, ale pragnęła posiadać przyjaciela i został też nim do śmierci. Zdawało się ludziom, że głównym powodem wstrzymującym Maryę od powtórzonego małżeństwa, było namiętne przywiązanie do pozostałego jej dziecięcia; gdy przecież w dwa lata potem śmierć zabrała dziewczynkę, zapowiadając już w pączku, który rozkwitać zaczynał, całą piękność tak ducha, jak ciała matki, i Vondel wypowiedział ponownie serdecznie swe pragnienia, Marya odrzuciła je znowu, prosząc zawsze o przyjaźń, którą sama uczuwała.

Oddalił się na rok jeden z koła jej życia i podróżował, zdaje się, że przebywał we Francji. Za powrotem przecież stanął znów przy boku Maryi, odpowiednio do jej życzeń, jako wierny i poświęcony przyjaciel i tak pozostali z sobą do zgonu, w ścisłym związku towarzyskim, w nieprzerwanej wymianie myśli i uczuć, w spokojnem zadowoleniu przyjaźni wzajemnej. Trwało to bez mała lat dziesięć, aż śmierć Maryi rozerwała słodkie zespolenie dwóch pięknych i zarówno godnych siebie duchów. Huygens, poeta także i jeden z grona literackich przyjaciół Maryi Tesselschade, napisał nad jej grobem wiersz, w którego ustęp przytoczyłam poprzednio. Umarła w 1649 roku, miała zatem 55 lat wieku.

Życie to, bogate nie tylko w obdarowania poezji i arcyzmu, ale i w enoty, i w uczucia, przez których gamę całą los przeprowadził serce kobiety, łączy w sobie szczęśliwie wszystkie te przymioty, które składać się powinny na doskonale pojętą osobistość niewieściami. Równie też rozumną, jak piękną była myśl, która kładąc imię Maryi Tesselschade na czele zesrodkowania pracy dzisiejszych kobiet Holandji, postawiła ją samą jako wzór do naśladowania. Jest to szlachetnie dobrane i dobrze wróżące hasło, z którem na ustach kobieta nie zabłądzi na manowce, otwierające się licznie w koło dróg nowych, któremi chce dążyć w przyszłość. Marya Tesselschade, to zjednoczenie wyższych polotów ducha z tkliwością serdecznych uczuć i rodzinnych obowiązków kobiety; to moralność tych uczuć w podniosłem, nie powszedniem ich znaczeniu; to wreszcie zestawienie harmonijne wykształcenia umysłowego i inteligencji twórczej nawet z wykonywaniem wszystkich cnót i powinności, które rodzinne i społeczne przeznaczenie kobiety kładzie na drodze jej powołania. Bezpośrednim celem stowarzyszenia Maryi Tesselschade jest polepszenie losu niebogatyń kobiet klas wyższych, przez rozszerzenie między niemi ducha pracy

i ułatwienie środków tej pracy w kierunku artystyczno-przemysłowym, myśl zaś etyczna, która jaśnieje w pierwowzorze, wyniesionym przed wzrok stowarzyszonych, to owa, wyżej wymieniona zgoda praktycznych celów życia z moralnymi zobowiązaniami kobiety. Powstałe w Amsterdamie w kwietniu 1872 roku pod protektorem królowej, która jest kobietą niepospolitego ducha i wyższego umysłu, usiłowania swoje wyteżyło na to najpierw, aby objąć wpływem swoim kraj cały, a budząc w ten sposób do działania wszystkie przychylne swemu założeniu jednostki, wzywając do wspólnej pracy wszystkie rozstrzelone i marniejące przez to siły, wywołać czynność rozwijającą się harmonijnie, więc podpierającą się wzajemnie, tak w materyalnym jak duchowym swym rozwoju. Że i to była myśl szczęśliwa, przynajmniej każdy, kto pomyśli jak wszelka idea nowa przyjmuje się w masach z trudnością, jak lekko i nieśmiało występują ci, którzy z nią współpracować pragną. Pragnienia te pozostają długo w stanie pożądania trwożnego; ręce, któreby się do nowej pracy szczerze przyłożyły chciały, odważnie się wyciągnąć nie umieją, gdy tymczasem duchy awanturnicze, osobistości zagadkowe rzucają się ku nowości, aby jej szkodzić, osławiać ją i odstręczać od niej, wprawiając w niepokój sąd ogółu. Otóż dać naraz wszędzie: bystrzejszym umysłom możność zbadania rzeczy, a nieśmiałym sympatyom poparcie tych umysłów, jest wielką na drodze postępu zasługą. Już wtedy ta nowość, której jedni się lekają niedowierzając, drudzy pragną lekko i przestaje być legendą niepewną i zamgloną, o której dochodzą nas wieści zdaleka, a staje się rzeczywistością, którą każdy zbliższy ocenić może. Gdy jeszcze wszędzie naraz zacniejsze, zaufaniem okolicy swojej zaszczycone osobistości, dają nowości tej poparcie, gdy początkowe, choćby najskromniejsze jej owoce okazały się w skutkach swoich dobrymi, gdy owa nowość która je wyda nie stanie do sporu z niczem, o co sumienie publiczne słusznie trwożyć się powinno, wnet ruszą się żywo tłumy całe i podejmą, wprowadzą w życie myśl, która się wcielić powinna. Lecz i wtedy nawet, nawet już po najważniejszym kroku usunięcia uprzedzeń, jeszcze stowarzyszenie wielkie wyświadcza usługi, bo reguluje pierwszy pochod czynności, daje mu zgodność działania i pewien ład systematyczny, który nie tylko nowemu przedsięwzięciu pierwsze praktyczne trudności z drogi usuwa, ale pomaga mu zakorzenić się przez wzajemną pomoc, nie dającą się nigdy bez stowarzyszenia otrzymać. Cechy średnio-wieczne były poniekąd też stowarzyszeniami związanymi dla interesu pracy i pracujących. Ludzie wiązali się w kółka dla wspólnej pomocy i obrony, tworząc w ten sposób ciała moralne, interesowane w zabezpieczeniu swych członków. Ale ówczesny duch wyłączności, absolutyzmu i ciężenia tych co byli w górze, nad tem, co się tam dopiero dostać pragnęli, tkwił w nich wadą tak wielkiego znaczenia, że nie mogły się oprzeć postępowi ekonomicznym i moralnym pojęć. Stowarzyszenia wstępują na ich miejsce w społeczeństwach nowożytnych i w krajach gdzie organizacja pracy najlepiej jest pojęta, do coraz rozleglejszego przychodzą znaczenia. Praca kobiet musi też z potrzeb ekonomicznych, a powinna dla potrzeby uczuć moralnych, związać się w stowarzyszenia, któreby tworzyły z nich jak gdyby społeczeństwa siostrzane, przez ducha swego podobieństwo kółek rodzinnych mające. Czyż nie garnie się do tej pracy głównie kobieta samotna, nie jestże zatem rzeczą wagi ogromnej, aby jej przywrócić to, co w utracie swojej jest dla serca niewieściosci najboleśniejszym brakiem: stworzyć jej jakieś stosunki, rodzinę przypominające; dać sposobność młodszej, aby znalazła cień opieki macierzyńskiej i przywiązania siostrzanego, starszej rozweselić smutną jej samotność ogrzewając zblizeniem do młodości i słodką możliwością wywierania uczuć tkliwych. Zamknąć serce kobiety, nie dać ujścia jej uczuciom, jest to zadać jej gwałt najboleśniejszy, przez który młoda upaść może najniżej, ściągając zawodną marę szczęścia; starsza zakamienić rozpacznie w nędzny i wysuszający egoizm, popaść w najsmutniejsze ubóstwo ducha. Stowarzyszenie pracy kobiecej, dobrze, rozumnie, bez myśli wyzyskiwania założone stowarzyszenie może być wielką przeciwną obroną dla kół pracownic samotnych, i gdyby nie było w rozwoju pracy tegoczesnej instytucji podobnych, dla celów ekonomicznej potrzeby powstałych, kobiety

stowarzyszący się powinny dla względów moralnego swego dobrobytu.

Stowarzyszenie Maryi Tesselschade zdaje się myśl tę pojmować, ogarniając odrazu kraj cały siecią rozgałęzień swoich. Główny komitet ustanowiony w Haadze, zaprowadził zaraz dziesięć filij swoich, w znaczniejszych miastach jak: Amsterdamie, Rotterdamie, Delft, Middelburgu, gdzie na wzór głównego, urządziły się miejscowe komitety, każdy z pięcioma przywiazanymi do siebie korespondentkami. Raz do roku delegaci wszystkich komitetów zjeżdżają się do Haagi, gdzie komitet główny przegląda rachunki, rozpatruje interesa i wspólnie z członkami miejscowymi radzi nad ich obrotem. Bez zgody wszystkich komitetów nie może być przez żaden komitet szczególny wystawa pracy kobiecej urządzana. W miejscowościach, gdzie stowarzyszenie nie przechodzi liczbą dwudziesięciu członków, komitet zawiązanym być nie może, i tylko pojedyncza korespondentka sprawy stowarzyszenia załatwia. W dniu 1 października zeszłego roku, a w pół roku po ostatecznym ukonstytuowaniu się towarzystwa, liczyło ono 1,000 członków a zatrudniało 215 robotnic, które przez ten przeciąg czasu zarobiły około 4,000 fl.

Każdy z członków towarzystwa płaci rocznie najmniej 1 fl. 30 kr. i dochód ten — dary i zapisy są również przyjmowane — użyty jest przez towarzystwo jako kapitał obrotowy, na zakup materyałów pracy, aby w miarę zgłaszania się publiczności stałować u robotnic pewne wyroby, lub w takowe na zapas składy towarzystwa zaopatrywać; przyczem robotnice powinny być zawsze gotówką płacone. Od każdego przecież przedmiotu stowarzyszenie pobiera pewien procent. W składach oddziałów większych procent wynosi 8 lub 9 od sta, w mniejszych ogranicza się do 5 od sta. Pewne filie znaczniejsze jak Amsterdam i Delft dostały od komitetu centralnego zapomogę bez procentu udzieloną.

Amsterdam, Rotterdam i Middelburg otworzyły zaraz składy, gdzie inne filie wyroby swe nadsyłały. Następnie skład jeden jeszcze został otworzony w Zütphen, a filia Kapellen urządziła wyprzedaż przy pewnym sklepie w Goes. W czasie kąpieli morskich filia Haaga otworzyła skład w Scheweningen, gdzie i inne oddziały stowarzyszenia wyroby swe nadsyłały, robiąc stosownie dobre interesa, szczególnie na garderobie dziecinnej i kąpielowej. Osoby wyprzedaż się zajmujące, mają sobie zapewnić stosowny procent.

Pismo „Ons Steven“ oraz inne peryodyczne pisma ogłaszają publiczności jakich mianowicie towarów, w którym ze sklepów dostać można. Wyroby są ostemplowane przez stowarzyszenie, a plomba która ten stempel nosi, przedstawia herb Maryi Tesselschade i umocowaną jest do wstążeczki błękitnej ze złotym prążkiem. Znaczenie tych barw ma symbolicznie przedstawiać wierną w swem postanowieniu wytrwałość, i zapal który jest przez złoto oznaczony.

Sprawozdanie stowarzyszenia w dniu 1 października r. zeszłego ogłoszone, objaśnia że stowarzyszenie produkowało tak wszystkie zwykłe prace kobiecej przedmioty: stroje, bieliznę, hafty, drutowe, szydełkowe i frywolitowe roboty, jak przedmioty sztuki i przemysłu artystycznego. Skład Haaga zbywał głównie malarские prace stowarzyszonych, Amsterdam kunsztowne wyrzynania, oraz rzeźbienie i inskrustowanie z drzewa, Rotterdam kwiaty sztuczne, którego to towaru odbył był znaczny i liczba uczniów chcących kształcić się w tym dziale pracy ciągle się zwiększa. Wyroby ze skóry i galanterijne intro-ligatorstwo było również we wszystkich oddziałach reprezentowane i zbyt znalazło. Wyroby koronki naśladowane: „point lace“ i „filet guipure“ stanowiły także towar stowarzyszenia. Stowarzyszenie położyło sobie za zadanie wzmóc przemysł koronkowy, który niegdyś tak świetne korzyści pracy kobiet holenderskich zapewniał i tak kunsztownie był wykonywany. Dziś przeszedłszy w ręce prostych, z rękami nie obeznanymi robotnic podupał na znaczeniu, które towarzystwo chce mu przywrócić, wzbogacając w ten sposób narodowy przemysł Holandji.

Stowarzyszenie wyznało przecież ze smutkiem, że wiele wyrobów robotnic stowarzyszonych nie okazało odpowiedniej dobroci wykonania a „zła robota“ podkopuje kredyt stowarzyszenia i dobrym robotnicom szkodę przynosi. Przyczem — dodaje sprawozdanie — dawały się słyszyć głosy że wynagrodzenie



było zbyt małe, z drugiej zaś strony zaczęto się strachać, czy nadsyłane składom stowarzyszenia wyroby nie przewyższają liczbą zapotrzebowania takowych? Ale zbyt wyrobu dobrego jest zawsze pewnym, gdy go znaleźć nie może robota niedbała i zład też najtaniej nawet płacona, jeszcze się w końcu przepłaconą okazuje". Komitet główny zawarował zatem na ostatnim zebraniu październikowym, aby komitety miejscowe zwracały wielką bacność na staranne wykonywanie robót, i takie tylko przyjmowały do zbytu, bo inaczej stowarzyszenie nie wyrobiłoby nigdy dla produkcji swojej szacunku publicznego i nie zdołało sprowadzić robotnikom tych korzyści, jakie przemysł każdy, tylko przy sumiennem wykonywaniu przyjętych zobowiązań dać może. Wystawa ogólna robót stowarzyszenia oznaczoną została na koniec listopada bieżącego roku w Amsterdamie. Dzień świętego Mikołaja (6 grudnia) jest dla Holandii takim świętem rodzinnym zebrań i podarków, jak u nas wilia Bożego Narodzenia, jak Nowy rok we Francji. Wystawa odpowiednio do tego czasu otwarcia swego oznaczyła, aby zbyt wystawionych wyrobów łatwiejszem uczynić. W kraju protestanckim zbiega się to zapewne przypadkiem jedynie z katolicką legendą o świętym Mikołaju, która świętego patronem ubogich kobiet czyni. Według tej legendy żyły przed wiekami trzy siostry sieroty, ubogie, piękne i opuszczone a do świętego Mikołaja nabożne, i raz, gdy przyszła na nie wielka nędra, wielki ducha upadek, wzmogły się jeszcze na ostatnią do świętego modlitwę i oto cudownym sposobem zesłane im zostały trzy bryły złota. Niech kobieta Holenderska, niech każda kobieta uboga takiego cudu dozna; moce niebieskie, ku którym duszę podnosi, niech jej dadzą tyle sił do pracy, tyle w niej wytrwania, odwagi i takie osobistej swej godności zrozumienie, aby zawsze w dzień rodzinnego święta swego kraju znaleźć mogła swoją bryłkę złota, która od nędzy zbawia, w obowiązku dotrwać pozwoli i dostojność nie poniżonego ducha uchowa.

M. Ilnicka.

## ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPÓŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

Wybiła dziesiąta. W gruppach niecierpliwosć objawiać się poczęła. Ten i ów na zegarek spogląda.

Publiczność w komplecie. Artystów niema—ktos się głośno odezwał.

Na słowa te odpowiedział gwar wesół. Niecierpliwosć nie wypędziła nikogo, a to dla tego może, iż był to zbiór ludzi należących — o ile o rzeczach podobnych od oka sędzić można—do tak zwanej śmietanki towarzyskiej. Znajdowali się tam wprawdzie i rubasznicy, lecz w ten sposób, co to zakrawa na oryginalność. Znajdowali się także i skończeni saloniści. Większość składała się z ludzi dobrego tonu. Co się zaś wieku tyczy, co się do narodowości odnosi, to pod dwoma temi względami zachodziło pomieszanie; pod pierwszym atoli przewagę miała młodosć, poczynając się od lat osmnastu, pod drugim... francuzczyzna. Język francuzki prym trzymał w konwersacyi ogólnej, tak że możnaby pomyśleć, iż tło zgromadzenia było francuzkie, a do tła tego przymieszane były żywioły obce. Ten, mówiąc językiem Felona, zarywał z grecka, ów z włoska, inny z żydowska, inny inaczej jakoś. Wszyscy wszelako po francuzku rozumieli i mówili.

Wybiła dziesiąta. W pięć minut później ktos zapalał świece w lichtarzach i wnet potem drzwi boczne się otworzyły i przez nie wkroczyło dwóch jegomości, jeden w wieku podczłym, drugi lat śred-

dnich, obydwaj wielce poważni. O starszym myśleć by można, że wojskowo służył—taki miał chód i taką postawę. Młodszy wyglądał na dyrektora bióra w ministerstwie spraw jakich. Weszli, publiczność rozstępowała się im z uszanowaniem, niektórzy spotykali ich ukłonami, na które oni łaskawem głow skinieniem i uśmiechem odpowiadali.

Oi dwaj panowie zasiedli na krzesłach wybijanych, starszy na lewo, młodszy na prawo obok szkatuły.—Wszyscy inni do stołu się pogarnęli. Nastąpiła cisza.

Starszy się podniósł i wśród ciszy zabrzmiał głos jego:

— *Messieurs, c'est convenu*, samiśmy swoi. My spółka (ukazał na towarzysza) poświęcamy się... grubo ryzykujemy... mamy więc prawo zupełne wymagać od was gwarancyi honoru. Musimy przytem uciekać się do środka ostrożności. Drzwi zamknięte i do godziny czwartej nikt nie wejdzie.

— Nie wszyscy przyszli!..—przerwał głos z tłumu.

— Al!..—odparł stary jegomość, ręce wraz z ramionami wznosząc, jakby powiedzieć chciał: Przepadło.

— Baron Hyacynt Kelek—odezwał się głos ten sam.

— Kelek?... — odrzekł jegomość tonem lekceważenia.

— Przyjeżdża z grubemi pieniędzmi.

— Jakże do nich przyszedł?... —

— Przyjeżdża z Turcyi. Może rozbił kogo.

— Hm...

Jegomość niemłody kiwnął na osobistosć jedną atletycznej postawy, która, gdy wszyscy do stołu się pogarnęli, w głębi izby pozostała i słów kilka do ucha jej szepnął. Osobistosć postawy atletycznej oddaliła się. Jegomość znów głos zabrał, zanim jednak do takowego przyszedł, słyszeć się dało drzwi środkowych szarpnięcie.

— Baron niezawodnie!...—odezwał się ten sam, co się o barona owego upomniał.

Jegomość podziły głos swój zawiesił. Nastąpiła chwila oczekiwania, która prędko przeminęła, wkrótce bowiem ukazał się jegomość w okularach, wieku lat za trzydzieści, starannie ubrany, ufryzowany i pachnący. Wszedł, kiwnął głową do dwóch na obijanych krzesłach siedzących (jeden z nich stał w tej chwili) rozdał uściski dłoni kilku z publiczności i przyłożywszy do ust główkę laski, przedstawiającą głowę psa legawego, zwrócił oczy na jegomości podziłego, który tak dalek ciągnął:

— Musimy być ostrożni. Drzwi zamknięte, do godziny czwartej nikt nie wejdzie i nie wyjdzie.

— A kto się zgra blanko?... — przerwał przybysz.

— Tego się przez okno wyrzuci — odpowiedział ktos na to.

Zart pobudził publiczność do śmiechu—krótkiego.

— Gdyby pod oknem płynął Dunaj, to nie mówię—odparł przybysz. Zawsze jednak, do czwartej to mało. Nie ma i sześciu godzin. Toć wyrobnik pracuje dwanaście.

— Zresztą — odezwał się jegomość podziły — to zależy. Zobaczymy! Rzecz główna, ostrożność... ryzykujemy bowiem grubo... dwadzieścia tysięcy dukatów.

— *E viva!*...—zawołał przybysz w okularach. Gdy wygram połowę, to całą na jedną postawie stawkę...

Poznaje teraz czytelnik, co to była za izba. Miałem więc rację dziurą ją nazwać.

Jegomość wyglądający na dyrektora bióra ministerjalnego otworzył szkatułkę, wydobyl z niej szkatułkę mniejszą i przed towarzyszem postawił; następnie rozłożył na środku stołu kawał tkaniny jedwabnej, wielkości i kształtu dużej chustki od nosa, na której, w dwa półkola, szły porządkiem numerami od 1 do 32, rozdzielone pośrodku dżem zerem. Numerów połowa odbita była kolorem czerwonym na tle czarnym, połowa kolorem czarnym na tle czerwonym, a zatem płachta owa była pół czarna, pół czerwona. Jegomość podziły otworzył szkatułkę małą. Przybysz w okularach krzyknął:

— Do bronil!..

Rozpoczęła się gra w ruletę, na numerami i na kolorach.

Grą samą nie będziemy się zajmowali. Zauważymy jeno, sposobem nawiasowym, tę osobliwosć, że, jak to się z przygotowań do niej pokazuje, odbywa się ona w kraju, w którym gry hazardowne są za-

bronione. Odbywała się jednak. Zakaz pozostawał literą martwą, tracąc moc swoją w obec namiętności podszanej honorom. Namiętnosć ciągnęła, honor ostaniał, hazard kwitł w najlepsze.

Grą jednakże—jak wyżej rzekliśmy—nie będziemy się zajmowali, a uwagę naszą całą zwrócimy na ponitera pewnego, którego nazwiemy X. Zauważymy, że iksami i igrekami nazywali się tam wszyscy. Bezmiennosć okrywała operacyę całą, a zatem nie mamy prawa zdradzać ludzi, co w grze udział brali. Jedyny wyjątek w tym względzie stanowi tu baron Kelek, ale nie nasza to wina, a tego, co nazwisko jego wymówił. Owóz poniter X. siadł na stołku pod ścianą, w rękę prawem trzymał kalpen spory, mający pozór albumu rysunkowego, lewą rękę trzymał w kieszeni. Postawa jego wyrażała obojętnosć. Gdy jednak w izbie ukazał się baron Kelek, poniter X. rzucił się na stołku, jakby mu przez ciało elektryczny przebiegł prąd i w barona oczy wlepił. Namarszczył czoło, zaiskrzył wzrok, wyraz twarzy znamionował zdumienie — nagle zdumienie ustąpiło a miejsce onego zajął uśmiech złośliwy, który się szeroko po obliczu rozlał. Po chwili i ten uśmiech ustąpił.

W czasie gry zachowywanie się pana X. było dość oryginalnem. Wstawał od czasu do czasu i stawał dukata; gdy wygrywał ściągwał stawkę, gdy przegrywał, cofał się i znów usiadał. Wstawanie i stawianie odbywało się na godzinę razy cztery najczęściej. Resztę czasu spędzał na stołku pod ścianą w punkcie takim, że grający przedstawiali się mu z profilu. Niekiedy z pod jednej ściany przenosił się pod drugą, przeciwną. Grającym przypatrywał się z uwagą wielką, zapisując coś lub też kreśląc w kalpenie.

Baron widocznie zainteresował go żywo bardzo. Na niego szczególnie zwróciła się uwaga jego. Poniterując, mierzył go okiem z góry (a słusznego sam był wzrostu); pod ścianą siedząc, na niego najczęściej wzrok zwracał.

Gra przeciągnęła się do siódmej rano. O siódmej mężowie poważni, co jej przyzdownali, zamknęli szkatułę, włożywszy do niej szkatułkę, płachtę dwukolorową i monetę wszystką, i po chwili w izbie-dziurze zrobiło się pusto. Lamy dogorywały, świece w lichtarzach gasły. Wszedł ów człowiek, któregośmy z wieczora widzieli, lamy pogasił, okiennice i okna pootwierał, szkatułę i sukno zielone pod pachę zabrał i wyszedł.

W jakiś czas po nim posługacz izbę zamiętał, lamy nalewał i stołki ustawiał.

Wieczorem, znów się człowiek ze szkatułą zjawił. I znów się zapasy rozpoczęły.

I znów poniter X. stawał po dukacie razy cztery na godzinę, resztę zaś czasu spędzał na stołku pod ścianą, zapisując coś i kreśląc w kalpenie, przypatrując się uważnie wszystkim, a szczególnie baronowi Kelek.

Powtarzało się to dzień po dniu przez tydzień jeden, przez tydzień drugi. Po upływie tygodni paru, skład publiczności zmieniał się nie do poznania. Z tych, co się zeszli byli wieczora pierwszego, nie było prawie żadnego, z wyjątkiem dwóch owych jegomości, co pod zwierzciadłem zasiadali, ponitera X. i barona Kelek.

Baron służyłby mógł za wzór gracza wytrawnego Stawiał, stawiał, stawiał, regulował kusze umiejętnie, wiedział kiedy zapauzować, wiedział kiedy zaryzykować, ściągwał w porę, wytrzymywał w miarę, zachowywał krew zimną i humor dobry, słowem rozkosz było patrzeć na niego przy rulecie. Miewał „węnę”, miewał „pech” — zmiany te fortuny nie oddziaływały na niego bynajmniej. Zdawało się, jakoby był przeciwko nim opancerzony obojętnością, której nic rozbić, przełamać ani poruszyć nawet nie było w stanie.

Poniter X. obserwował go i uśmiechał się złośliwie.

Wieczora pewnego baron stawał, stawiał, stawiał i stawał nagle przestał. Oparł się ręką o stół, brwi zmarszczył i w ruletę się wpatrzył. Po chwili odwrócił się, bo go ktos o ramię trącił. Był to poniter X., który mu garść dukatów na dłoni pokazał z giestem mówiącym; „Weź to i stawiaj dalej”. Baron spojrział mu ostro w oczy, dukaty wziął i grać na nowo zaczął. Poniter X. uśmiechnął się bardzo złośliwie i na stołku pod ścianą usiadł.

W przeciągu dni kilku ta sama scena pomiędzy



baronem Kelek a poniterem X. powtórzyła się jeszcze dwukrotnie.

Upłynęło znów dni kilka, baron stawał, stawał, stawał, stawać nagle przestał, o stół się ręką oparł brwi zmarszczył i w ruletę się wpatrzył. Poniter X. siedział spokojnie na stołku pod ścianą i nie patrzył nawet na barona. Po kwadransie wstał, dukata postawił, wygrał, stawkę wraz z wygraną ściągnął, cofnął się i na stołku pod ścianą usiadł. Po kwadransie drugim powtórzył to samo.

„Jeżeli góra — jak to mówią — nie przychodzi do człowieka, to człowiek iść musi do góry”. Tak zapewne pomyślał sobie baron nie czując ażeby go kto o ramię trącał, odwrócił się bowiem od stołu, ręce w kieszenie włożył, po izbie się przeszedł, podszedł do ponitera X., stanął przed nim i rzekł:

— Ja pana gdzieś znam.  
— He?... — zapytał zagabnięty.  
— Widziałem gdzieś pana, tylko, zarznij mnie, nie mogę sobie przypomnieć, gdzie.  
— Hm — odparł poniter X., patrząc baronowi w oczy. Czemu pan nie grasz?...  
— Bom, panie kochany, blanko.  
— Dla czego, kochany?... — zapytał poniter seryo.  
— Jak nie kochać tego, co człowiekowi pocziwemu dukaty garściami daje!... Nie masz pan tam garstki jakiej?...  
— Mam...  
— Dajże mi więc tę mizerotę.  
— Dam... pod warunkiem.  
— A jakim?...  
— Przegrawszy tę mizerotę, przyjdiesz do mnie o południu do hotelu, piętro pierwsze numer drugi.  
— Dobrze!... najchętniej!... Ależ się przecie i tu spotkamy?...  
— Nie...  
— Jaktol więc pan miałbyś zamiar dopuścić się dezercyi z pod sztandaru?...  
— Mam ten zamiar.  
— Nie walcząc do upadłego, jak ja?...  
— Mam zwyczaj nie naśladować nikogo.  
— Jak się panu podoba... hm.

Poniter X. wydobyl z kieszeni garść dukatów, które baron wziął i do stołu z niemi powrócił.

Zdejmiemy niebawem z pana X. incognito powieściowe, albo raczej, samo ono spadnie z niego, a nim to nastąpi, przeniesmy się do mieszkania, jakie zajmował w hotelu. — Mieszkanie składało się z dwóch pokojów, z tych jeden pełnił funkcję salonu, umeblowanego jak się zwykle salony po hotelach meblują: kanapa, kilka krzeseł, szafa na ścianach, zwierciadło i ryciny, w oknach franki i okienice, na sztybach napisy dowcipne i nie dowcipne. Sprzęty te były, rozumie się, własnością właściciela zakładu. Własność lokatora figurowała na stole, pod postacią albumów rozmaitej wielkości i ołówków różnego koloru. Albumy te zapępniały głowy ludzkie, rysowane od ręki. Główny odrębnych nie znajdowało się wiele, tuzin najwięcej; jedna i ta sama reprodukowaną była po razy kilkanaście i to w sposób taki, że w reprodukcji każdej, przypatrując się jej pilnie, dostrzedz się dawała zmiana jakaś, nie naruszająca podobieństwa ani trochę, nadająca atoli fizygnomii wyraz odmienny. Parę albumów pełniło funkcję brulionów, były bowiem pokreślone, pomazane i zapiskami przepętnione. Do pokoju sypialnego zaglądać nie będziemy, tam bowiem z własności lokatora nie znaleźlibyśmy nic innego, jeno walizę podróżną, tłumok i książek kilkanaście.

W tydzień może po rozmowie, jaką miał z baronem pan X., siedząc na kanapie, rysował, a rysując na zegarek spoglądał. Spojrzył po raz ostatni, mruknął pod nosem słów parę i album zamknął. Po chwili słyszyć się dało na korytarzu stapanie męzkie zakończone pukaniem do drzwi.

— Entrez!...

Wszedł baron.

Baron posuwicie podszedł do kanapy, z której się pan X. ani ruszył, i miał zapewne intencję dłoń mu do uścisku podać, powstrzymany jednak pozostał od tego postawą gospodarza apartamentu, nakazującą trzymanie się w odległości. Poprzestał więc na ukłonie niedbałym, po którym zasiadł w fotelu, rozwałił się i nogę na nogę założył w sposób taki, że stopa prawej spoczywała na lewej.

— Jakże zdrowie... he?... Cóż słysząc... he?...

Pan X. nie odpowiadał na pytania. Przypatrywał się pilnie głowie barona.

— Przychodzę tedy.

— Liczyłem na to.

— Żałuj pan, żeś nie był... kiedyż-to?... a!... pozawczora. Wena mi służyła szalona. Bankierzy mienili się, niby obrazy cudowne... Przyszedł jednak pech... i... hm... Ja wszakże postanowiłem sobie rozbić ten bank.

— I możesz rozbić wtrącił pan X.

Wyrazy te powiedziane były z taką pewnością, że to zastanowiło barona. Zapytał:

— A tóż jak?...

— Dam ci sposób.

— Jaki?...

— Pieniądze.

— Liczę na to. Inaczej bowiem.

— Musiałbyś się o takowe postarać gdzieindziej... w Zarnicy, naprzykład.

Baron się zatchnął, wnet atoli udał zdziwionego i o niczem, co się jakiejś Zarnicy tyczy, nie wiedzącego.

— Zarnica? — Co to?...

— Jest to miasteczko na podgórzu bułgarskiem, do któregoś się udawał z polecenia paszy Ruszczuku.

— Nie rozumiem.

— Wytłumaczę ci natychmiast.

To mówiąc pan X. — w którym czytelnik domyślił się zapewne mister Williama Waytona — wydobyl z zanadru pugilares, a z pugilaresa bilet banku angielskiego, opiewający wartość funtów sto, i pokazując bilet ten do światła, zapytał:

— Czy to jasne?...

— Jasne — odrzekł baron.

Następnie Anglik bilet na połowę rozdarł, jedną do pugilaresu włożył i w zanadru schował, drugą przed sobą na stole położył.

— Opowiedz mi ze szczegółami wszystkimi, w jakim celu do Zarnicy jeździłeś, jakieś się tam sprawił i jakie być mogą bytności tam twojej następstwa. Gdy opowiadanie skończysz, dam ci tę oto połowę; drugą dostaniesz, gdy się przekonam, żeś nie kłamał.

Przez czas mówienia Anglika, oblicze barona przybrało wyraz wesołości jakiejś osobliwej. Ujrzwawszy tę zmianę, mister Wayton wglądał do jednego z albumów, tego właśnie który miał pod ręką, spojrzawszy następnie na barona, znów do albumu zajrzał i rzekł:

— Na dobrej jesteś drodze... No, zaczynaj.

— Wysłał mnie tam Sefer pasza, z którym łączą mnie stosunki znajomości dawnej.

— No?...

— Chodziło mu o to, żeby pulsa wymacać Bułgarom, którzy od czasu jakiegoś zaczynają władze ambarasować.

— Macałeś tedy pulsa... i cóż dalej?...

— Musiałbym przytaczać nazwiska, któremi się pan interesować nie możesz, boś o nich nigdy w życiu nie słyszał.

— To nic nie znaczy. Przytaczaj nazwiska.

Baron opowiedział szczegółowo cel misji swojej osnuwając opowiadanie około rodziny Szumlańskich. Anglik słuchał uważnie, nie przerywając, uśmiechał się, kiedy narrator zdawał w sposób humorystyczny sprawę z wprowadzenia do akcji Garibaldeggo, i w końcu dopiero zapytał:

— Nie wpadła ci w oko kobieta jaka?...

— O! i nie jedna. Bułgarki ładne są w ogólności ale, z powodu, żeś się w roli mojej utrzymywać musiał, nie mogłem zabawiać się niemi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Kronika naukowego, artystycznego i społecznego ruchu kobiet.

Istnieje we Francji od 1863 r. stowarzyszenie założone w Paryżu przez dwóch szlachetnych mężów: Dr Barrier i Dr Mayer, a rozgałęzione następnie po wielu prowincjonalnych miastach francuzkich, a nawet belgijskich: *Towarzystwo opieki nad dziećmi* (Société protectrice de l'enfance), którego celem jest: czuwanie nad losem niemowląt i zachęta karmienia macierzyńskiego. Przy każdym oddziale stowa-

rzyszenia znajdują się zaeni lekarze, czuwający nad stanem żłobków i kantorami stręczeń mamek, następnie towarzystwo działa dobroczynnie przy pomocy sił szlachetnie poświęconych kobiet, które pod nazwą pań opiekunek, z prezydentką na czele, służą zacnym i patriotycznym celom stowarzyszenia. Otóż dwa oddziały tego towarzystwa: paryzki i lyoński, zyskały sobie tyle pocziwej zasługi i uznania publicznego, że na ostatnim zebraniu Narodowego towarzystwa zachęty ku dobremu (Société nationale d'encouragement au bien), przyznana im została nagroda „zaszczytnego medalu“. Przytem p. Vautaret, prezydentka pań opiekunek lyońskich, osobiście podobny medal uzyskała. Dostał go również Dr Brochard, inspektor lyońskiego *towarzystwa opieki nad dziećmi* jako redaktor użytecznego pisma peryodycznego *La jeune mère* i autor dzieła: *De l'allaitement maternel*, o którym wzmiankę, w swoim czasie czynioną, czytelniczki naszego pisma przypominają sobie zapewne. Miesięcznik: *La jeune mère*, wychodzi w Lyonie także, zawiera głównie wskazówki postępowania z niemowlętami, buletyny *Stowarzyszenia opieki nad dziećmi*, zdobi się przytem bardzo ładnymi drzeworytami, które przyjemnie wprowadzają czytelnika w świat dziecinny, przedstawiając wdzięczne jego widoki. Oprócz celów praktycznych: obznajmiania młodych matek z zadaniami obowiązków macierzyńskich, Dr Brochard zamierza sobie widocznie działać na kobietę matkę sposobem moralnym, wykazując jej cały słodki wdzięk macierzyństwa i jego kłiwa, serdeczną poezję. W tym też celu czasopismo umieszcza prócz drobnych artykułów prozą, bardzo udatne, bardzo miłe wierszyki. Szczególniej odznaczają się niewiornie wdzięczne poezyjki Augusty Coupey, autorki uwieńczonego poematu: „*L'Orpheline du 41-er* — wierszyki jej: *Le petit soulier de Noel* i *Le nouveau-né*, są to małe cacka, miniaturowe arcydziełka, natchnione przez dobrą, słodkie uczucia niecącą muzę domowego ogniska.

Nie jest to zapewne optymizmem z mej strony, gdy powiem, że u nas wyjątkowo chyba zimne, samolubne kobiety potrzebują, aby im budzono w sercach wzruszenie macierzyńskiego uczucia, zawsze przecieź nie będzie to rzeczą straconą, aby panie nasze, słysząc, czy myśląc o lyońskich jedwabkach, lyońskich aksamitach, przypomniały sobie, że Lyon łączy się zarazem ze wspomnieniem czynności szlachetniejszej: ze wspomnieniem pocziwych usiłowań, wśród których kobiety zaszczytne zajmują miejsce.

Do liczby tych usiłowań zaliczyć trzeba dwie wystawy urządzona przez *Towarzystwo opieki nad dziećmi*. Oddział Towarzystwa Marsylskiego urządził w tymże mieście wystawę, odpowiadającą tej, jaką mieścił na Powszechnej wystawie Wiedeńskiej „pawilion dziecka“ to jest wszystkich przedmiotów służących do fizycznego i moralnego wychowania dziecięci. Wystawa ta została otwartą zeszłego 15 grudnia pod nazwą: „*L'Exposition d'Economie domestique, spéciale au premier âge*“ — a mieściła się w pysznym gmachu nowowzniesionej biblioteki miasta. Salę zdołały herby trzynastu departamentów południowej Francji, które tworzą razem *Marsylskie towarzystwo opieki nad dziećmi*. Usufitu sztandary w kolorach miast, będących siedliskiem działłań towarzystwa, tworzyły świetne draperye. Wystawę zwiedził tłum liczny; nagrody udzielone były: oddziałowi towarzystwa z Tours za dostarczone przez panie opiekunki powijaki, medal srebrny. Dr Juliet z Lyonu, za smoczek do karmienia sztucznego, medal srebrny.

Druga wystawa towarzystwa, miała miejsce w Paryżu, umieszczona w Palais de l'Industrie, w Pawilonie dziecka trwała przez dwa miesiące i licznie także wiedziana była. Akt rozdania nagród miał miejsce d. 5 stycznia, przy wspianiem towarzyszeniu muzyki gwardyi republikańskiej i przy współudziale pierwszych znakomości paryzkich. Medal nagrody zaszczytnej „*Médaille d'honneur*“ nosił z jednej strony napis: „*Exposition universelle infantine*“ z drugiej cyfry narodowe: R. F. — République Française — i w koło: „*Pavillon de l'enfant — Paris — 1874*“. Wstążka, u której był ucepiiony, nosi wybity czy wyhaftowany napis: „*Omnia Labore*“ zamknięty w laurowym i dębowym wieniec.

Wiem o jednej tylko nagrodzie, którą otrzymał Dr. Brochard za pismo „*La jeune mère*.“ Zapewne musiało ich być więcej, gdyż prezydujący komitetu



wystawy: Hervé de Lorin, wyluszczył w przemowie mianej do wystawców, iż wystawa paryzka zgromadziła szczęśliwie wszystko, o czem od lat kilku mówi się i pisze w interesie dziecka francuzkiego. — „Pracować dla dziecka, jest to pracować dla przyszłości kraju, dla zbawienia Francji“ zakończył mówca, dodając, „że wszystkie przedmioty wchodzące w skład potrzeb dziecka, jako to: pokarmy, odzież, pościel, przepisy higieny, książki o wychowaniu, podręczniki naukowe, wszystko to było przedmiotem najtroskliwszego przepatrzenia i oceny sędziów.“

Sędziami wystawy były zaszczytnie znane osobistości: Elie de Beaumont, członek instytutu; Mansais, mer dziesiątego okręgu Paryża; Marbeau, prezydent paryzkiego towarzystwa żłobków; margrabia de Béthisy, wiceprezydent towarzystwa zachęty ku dobremu; Honoryusz Arnoul, prezydent towarzystwa oświecenia i wychowania ludowego, wreszcie DDr. Chenu, Riant, Delpech z paryzkiej akademii medycznej. Był to zatem areopag sądzić zdolny, i znów przychodzi mi żałować, że znaną mi jest tylko jedna z przyznanych nagród.

Istnieje we Francji inne jeszcze stowarzyszenie dobroczynnej działalności kobiety w sprawie dziecka: „Francuzkie towarzystwo miłosierdzia macierzyńskiego“ (Société de charité maternelle de France) założone w 1787 roku przez pannę de Fougeret d'Outermont, córkę wysokiego urzędnika sprawiedliwości. Wykonując te uczynki miłosierdzia chrześcijańskiego, które zawsze i wszędzie kobieta tkliwszego serca i szlachetniejszego ducha uważała za swój dział pracy społecznej, p. de Fougeret została boleśnie dotknięta nędzą, w jaką wpadają macierzyństwem obdarzone kobiety z ludu, i brakiem pierwszych potrzeb, na który los skazuje dziecko ubożego, natychmiast po przyjściu na świat. Wspomóż matkę i opatrz dziecko, uratować zatem kobietę od okrutnej pokusy niemiłosiernego porzucenia dziecka, a to dziecko zbawić od nędzy, która od pierwszych dnia życia może je czynić słabowitą i w kolebce już zatrutą istotą—oto była szlachetna myśl p. de Fougeret, i z odwagą zacnego serca odniosła się zamierami swemi do pięknej a tak potem nieszczęśliwej księżny de Lamballe, a przez nią do uczucia królowej, Marii Antoniny. Nie odtrącono jej myśli, nie odepchnięto jej wezwania; królowa przyjęła protektoryat stowarzyszenia, które za jej poparciem stało się popularnym między kobietami arystokracji francuzkiej, a gdy te dały pieniędzmi potrzebny, p. de Fougeret urządziła we wszystkich okręgach Paryża pewien rodzaj służby miłosierdzia, które przychodząc w pomoc matkom ubogim, wspierały razem dzieć, zaopatrując je w ciepłą odzież, a matce karmiącej wypłacając pewną pensję stała, przez czas tego świętego trudu macierzyństwa. Wstrząsające Francję gromy wypadków rewolucyjnych rozbiły i tę dobroczynną instytucję, z którą wiązało się wspomnienie królewskości, ale pozostała tradycya, i w 1808 roku Napoleon I zażądał od Marii Ludwiki, aby wskrzesiła stowarzyszenie, któremu zapewnił rządową subwencję 100,000 franków. Od tej chwili wszystkie dostojne kobiety, stojące blisko tronu Francji, uważały sobie powinność popierać wpływem swoim *Towarzystwo miłosierdzia macierzyńskiego*, i cesarzowa Eugenia nie stanowiła tu wyjątku. Stowarzyszenie działało też we wszystkich większych miastach Francji, a gminy miejskie przeznaczyły na ten cel z dochodów miasta zapomogi stałe. Wojna znów zachwiała losom dobroczynnej instytucji, gminy ubożonych miast musiały oddać grosz miłosierdzia na inne potrzeby kraju, lecz od roku przeszłego *Towarzystwo miłosierdzia macierzyńskiego* zorganizowało się na nowo, a generałowa Bourbaki zaznaczyła się szlachetnie wśród rozbudzającej się w tym kierunku działalności ości kobiet francuzkich.

Zrobiono Francuzce zarzut okrutnie przenikający: wśród głosów gorzkiej boleści nad upadkiem sławy i godności Francji, podniosło się straszne oskarżenie, że jest w tem wielka część winy kobiety, która nie umie już być dobrą matką swego dziecięcia, odmawia mu mleka piersi swojej i nie daje z siebie przykładu tych cnót surowych, które w sercach synów matki tylko szczepić mogą. Głosy te odzywały się zewsząd; mównica zgromadzeń publicznych, książka poważnego myśliciela, tren poety, wszystko razem składało się na wyrok potępienia, to też zraniona tak przez swoich, często łżona przez obcych, Francuzka usiłuje się podnieść i zaczyna szczerze pracować

w tym kierunku. W poemacie: „Petit-fils d' Attila“ wydanym w Paryżu roku zeszłego, autor piszący pod pseudonimem: „Vir liber“ ciska klątwę i składa winę upadku Francji na tę wyrodną, która przedajnej piersi niewolnicy, każe karmić swego syna, dziecko Francji. Zatem w usiłowaniach dobroczynnych, jakich częściowy obraz streścić się tu starałam, można widzieć jak gdyby zapowiedź moralnego odrodzenia Francji.—Boże pomagaj!... mówić się u nas zwykło, gdy przechodzimy koło jakiejś pracy dobrej, której życzymy poparcia łaski Bożej, niech zatem każda z kobiet naszych, która pojmować umie moralne i społeczne znaczenie dobrze spełnionych obowiązków matki, prześle w dal takie życzenie siostrzana kobiecie francuzkiej. — Boże pomagaj! aby przestała być lekka i strojną jedynie lalką... Boże pomagaj, aby w gorącym uczuciu serca, w dostojnej powadze francuzkiej myśli narodowej, chowała dzieci swoje i domowego ogniska swego domu umiała strzec w uczciwej zamożności kobiety szacunku godnej i uszanowanie wzbudzającej...

Niech światło przyjdzie po cieniu, po smutnej prawdzie która czoło zasepia, nastąpi obraz przez który wzruszone serce uderzy. Jestto historia poświęcenia macierzyńskiego, dokonanego w roku zeszłym. Rozbicie francuzkiego okrętu *La ville du Havre* miało w swoim czasie bolesny rozgłos w całej Francji, otóż jednym z jego epizodów jest szlachetny czyn kobiety. Na pierwszy krzyk, że statek tonie, wybiegła z kajuty kobieta, unosząca w swych objęciach pięcio, może sześciu-letnie dziecko, chłopczyka. Gdy inni szukali środków do ocalenia własnego, ona chwyciła podłużny cebrzyk, używany do wylewania wody z okrętu, i wsadziwszy w niego dziecko, spuszcza tę wąską kódkę na wodę, wołając może do Boga o cud, jaki spełnił dla matki Mojżesza. W tej samej chwili wstrząsł się pomost pod nogami matki nieszczęśliwej i statek zanurzył się w głębi morskiej. Ostatnie jej spojrzenie widziało przecież unoszone przez fale dziecko swoje, które nie płacząc, nie tracąc przytomności trzymało się mocno danych mu miłośnie desek zbawienia, Wkrótce jednak i one uległy takiemuż jak okręt losowi, bałwan przewrócił je i zatopił dziecko; lecz matka umarła z myślą słodką, że je uratować zdołała.

## RUCH MUZYCZNY.

Czyż dziś jest instrument bardziej oklepany jak biedny fortepian? W każdej z 3,000 przeszło nieruchomości, objętych wykazem hipotecznym w Warszawie, na każdym piętrze znajdziemy kilku tych męczenników, dręczonych od rana do nocy gammami, ćwiczeniami, a co gorsza Lisztowskiemi rapsodjami granymi z siłą, jakiejby się isam Liszt nie powstydział, a z precyzją... ale o tej już zamilczęć wole. Wśród takiego nawału uczących się, jakież mnóstwo talentów wielkich, znakomitych, pozornie lub istotnie nawet! A gdy za granicę naszego skromnego partykularza wyjrzeć zechcemy, czyliż na obu ziemskich półkulach, nie spotkamy się wszędzie z tym królującym wszechwładnie instrumentem, który tak drogo swoje królowanie okupywać musi! Podczas gdy skrzypce zdają się uragać czasowi, i zamiast się starzeć, młodszeją z wiekiem, biedny klawicymbał prędzej głoś i siły traci od młodego tenora, w chlubnej walce o nieśmiertelność własne poświęca życie, i dziś muskany na koncercie palcami Rubinstejna sali, jutro przechodzi do najemnej sali w Ciechocińskim bufecie, a pojutrze w nędznej jakiej gargocie dogorywa, tłuczony pięściami podpiłych grajków, aż mu mole wyjedzą wnętrzności, i spłonie pewnej zimy w piecu, na równi ze zwyczajnym nieocięsanym sosnowym polanem.

Otóż wśród takiego rozwielenienia gry fortepianowej, wśród tak świetnej plejady wirtuozów, zachwycających nas na koncertach — znaleź! sobie miejsce, przebić się przez ciżbę aż do samego santuarium, stanąć odrazu w rzędzie najpierwszych — niemałe to zadanie, a jednak tego dokonała—kobieta... Tak, owa wąta istota, którą pani Wilhelmina v. Hillern nazywa „tylko kobietą“, owa istota bezsilna, *puch marny*, dokonywa cudów waleczności pod

względem siły, pieści nas urokiem poezji, unosi na falach wesołego kaprysu, zadziwia nas mechanizmem, inteligencją, poczuciem, pamięcią, i przy miłej i ujmującej powierzchowności, liczy zaledwo dwa—dzieścia parę wiosen w swem życiu!

Taką jest pani Annetta Essipow, której następne koncerty dały nam poznać talent dokładniej i ocenić jego wielostronne przymioty. — Na pierwszym koncercie największą rolę grała brawura. — Drugi był różnicem migotaniem wszystkich stylów i rodzajów — trzeci jaśniał przedstawieniem szerokich rozmiarów dzieł wykonanych z klasycznym spokojem i romantyczną poezją.

Na drugim koncercie, danym w resursie obywatelskiej w kwietną Niedzielę wieczorem, artystka wykonała świetnie Sonatę Beethovena, ołśniła nas walcem Rubinstejna, dała dowód bardzo głębokiego pojęcia w dziełach Szopena, zainteresowała nas trudną Toccata Bacha (układu Tausiga), i nawet zniewoliła do chętnego wysłuchania karnawałowych scen Schumanna, będących (dla nas przynajmniej osobicie), genialną arlekinadą raczej niemłą do wysłuchania, niż ponętą. Z Szopenowskich utworów najbardziej godne uznania było wykonanie Nokturna z tonu Des dur, gdzie pani E. wykazała wiele smaku i umiejętności frazowania. Jeden mianowicie szczegół szczególnie zasługuje na wzmiankę,—a tym jest wyborne odcharakteryzowanie różnic w sposobie oddania głównego tematu, który jak wiadomo, trzy razy się powtarza. Tak za drugim jak za trzecim razem wskazówki podane w nótach są niezgodne z tradycją Szopenowską. Powrót drugi tematu oznaczony jest przez crescendo, trzeci przez dominuendo; pani Essipow grała te miejsca wprost przeciwnie i tak właśnie, jak je podobno Szopen mieć chciał, to jest drugi raz bardzo cicho z drugim pedałem, trzeci raz forte i szeroko.

Ale największym tryumfem artystki jako egzekutorki dzieł Szopena był koncert jego E moll, który odegrała za trzecim wystąpieniem w teatrze. Śmiało powiedzieć można, że marzyć trudno o lepszym wykonaniu tego trudnego dzieła. Najważniejszy szkopuł, o który się rozbijają najczęściej usiłowania innych wykonawców—zwykłe Szopenowi *tempo rubato* — dla pani E. wcale nie jest trudnem bo właśnie w tem *rubato* jest ona najpoetyczniejszą, i nie wpadając bynajmniej w ekliwą przesadę, utrzymuje ciągle grę swoją w granicach dobrego smaku. Szlachetna, wzniosła prostota królowała w tym koncercie, mechaniczne wykończenie było tak znakomite, pojęcie poetyczne tak doskonale utrzymane, że nigdzie w ciągu całego dzieła nie zadraskała nas ani jeden ton zbyt ostry i szorstki, ani na chwilę nie byliśmy zbudzeni z miłego prawdziwie estetycznego marzenia. Również i w koncercie Mendelssohna artystka okazała się znakomitą, lubo nie tak nadzwyczajnie samodzielną jak w Szopenowskim. Ale w każdym razie na wszystkiem co wykonywała, począwszy od wielkich koncertów aż do drobnutkiego „zur Guitarre“ Hillera, kładzie pani E. piękno, znamienicie i szlachetnie charakteryzującą się indywidualności. W całym ciągu trzech wieczorów na których słyszeliśmy panią E. dwa razy tylko zdaniem naszym omyliła się: raz w odegraniu za przedko i bez poezji walca Moniuszki, drugi raz zagranieniem za wolnem „des Abends“ Schumanna; w innych dziełach, jak Scherzo Szopena, charakter prawdziwy mógł być w wielu miejscach jeszcze jaśniej wyrażony.— Słowem, postęp jest możliwy — duch jeszcze głębiej do tajemników dzieł sięgnąć może, ale to co dziś jest, przedstawia już niezakończenie bogaty i piękny materiał do uzasadnienia wielkiego rozgłosu, jaki w krótkim czasie otoczył aureolą młodą skroń artystki.

Orkiestra w koncercie Szopena, a szczególnie w Rapsody Liszta, bardzo źle akkompaniowała; o ile z własnej winy, nie wiem — lecz wiele zdaniem mojem, zawiniła dyrekcyja—co otwarcie wypowiedzieć należy. Przy zakończeniu Romansu w koncercie, w czasie ostatnich passażów fortepianowych, drugie skrzypce grają temat pierwotny, a potem inne instrumenta prowadzą śpiew aż do samego końca. Otóż ktoby o tem nie wiedział, niemógłby się istnienia tego śpiewu nawet domyśleć. Nietylko że skrzypce zaczęły swój temat nie w porę, ale wykonywały go tak lekliwie, że widocznie nie wiedziały o ważności swej roli—tę samą chwiejność w dalszych taktach zachowywała waltornia, tak że ostatecznie słyszeli-



śmy ciągle tylko passaż fortepianowy, rzecz podrzędna a rzeczy głównej nie słyszeliśmy wcale. Tło musiało zastąpić rysunek. Toż samo mniej więcej zdarzyło się i w Rapsody, gdzie kolejne wejścia instrumentów dętych przez kilka taktów wcale słyszaniem nie były. Jest to, mówiąc otwarcie—brak troskliwości — i zaniedbanie.

Pan Zarzycki nietylko w tym sezonie wystąpił ze świetnym własnym koncertem, nietylko z niezmiernem powodzeniem dał się słyszeć w kilku koncertach, ale jeszcze zasłużone zebrał laury jako nauczyciel na koncercie swej uczennicy panny Florentyny Friedenthal. Młodzianka fortepianistka od lat kilku już kształci się pod kierunkiem pana Z., w tym jednak roku postęp jest tak znaczny, że dla chwały tak nauczyciela jak i uczennicy, musimy o nim słów kilka powiedzieć.

W poprzednich wystąpieniach panny Friedenthal, czuć było, jak to już i dawniej pisaliśmy, brak samodzielności, pewną chwiejność, którą tłumaczyliśmy sobie stanem przejściowym, w jakim znajdować się mogła dusza młoda, różnemi wpływami w różne strony kierowana. Pamiętamy jeszcze wybornie pierwszy koncert panny Fr. jako uczennicy p. Krzyżanowskiego. Inteligencya młodzieuchnej uczennicy była wtenczas tak biernie wrażliwą, że się przejęła doskonale wszelkimi wskazówkami nauczyciela. Szczególniej w Polonezie Es dur Szopena ten wpływ kształcący najpiękniej czuć było. Na nieszczęście, właśnie w tym czasie została panna F. zdaniem mojem bardzo niesłusznie usunięta z pod kierunku pod jakim dotychczas pozostawała. Będąc czas jakiś pozabawioną systematycznej nauki, potem innemu powierzoną kierownikowi, niepodobna było widać pannie F. wśród tylu wpływów odszukać samej siebie— a prawdopodobnie jeszcze indywidualne pojęcie nie było wówczas możebnem. Stopniowo jednak, mimo chwiejności w pojmowaniu, przebijają w grze panny Fr. pewne wydatniejsze przymioty, po trosze zakrawające na zarysy indywidualności. Tak było przez lat kilka—aż oto na ostatnim koncercie—taż samodzielność jaśniej się już przedstawiać zaczęła: już we frazowaniu nokturna Szopena widać było, że oprócz wpływu obcego było tam wiele w duszy, co temu wpływowi sympatycznie odpowiada, i już biegniki w Finale koncertu f moll, już etuda na czarnych klawiszach, nie były grane z dokładnością, li tylko sumiennej uczennicy, ale w nich przebijało własne poczucie, własny, że tak powiem, dowcip.—Szczepnie wieszujemy tego postępu duchowego pannie Friedenthal, nie mówiąc już o paluszkach, które ślicznie się sprawiają, i lubo niedosć jeszcze mają siły, przecież zrecznie i jasno wszelkie mechaniczne trudności pokonywać umieją. Lewa ręka w fudze Bacha bardzo była wyrazista i inteligentna. Obecna na koncercie pani Essipow nader przychylnie zdanie o talencie panny F. wyrażała słowem szczerej zachęty i uznania wynagrodziła trudy młodej artystki.

Na tymże koncercie dała się nam słyszeć, pierwszy raz po powrocie z zagranicy, panna Marya Braciszewska, której śpiew bardzo się podobał — lecz musimy dokładniejsze sprawozdania o talencie panny B. odłożyć do przyszłego numeru.

(Dokończenie nastąpi).

## Z WYSTAWY TOWARZYSTWA ZACHĘTY Sztuk Pięknych.

(Dokończenie).

P. Karol Miller, który już dawniej próbował się swoich w rodzaju historycznym, a nawet dobrze dawał wróżyć o swoim talencie (Leszek Biały), teraz podługiej przerwie, zapełnionej portretami osób niekoniecznie kwalifikujących się do nieśmiertelności, wrócił do historycznej muzy. Kapryśnica ta odwykła jednak, jak widać, od niego, i bardzo niedbale dopomagała artyście. „Stanisław August w otocze-

niu przyjmujący szkice artystów, do ozdoby Łazienkowskiego pałacu, w r. 1790“, jest prosta ekspozycja kostiumów z końca przeszłego wieku. Król w niebieskim aksamitnym haftowanym srebrem fraku i odpowiedniej reszcie francuzkiego ówczesnego stroju, siedzi na krześle wystawionem na tarasie pałacowym i ogląda projekt jakiegoś dzieła sztuki, przedstawiony mu przez stojącego obok Bacciarellego z ołówkiem w ręku. Na drugim krześle, po lewej stronie króla, siedzi Grabowska i przez ramię króla wpatruje się bacznie w rysunek leżący na kolanach jego. Za krzesłami stoją jeszcze dwie damy; w pewnym za niemi oddaleniu, po prawej stronie obrazu, Trembecki, również w francuzkim stroju, rozmawia z jakimś kontuszowcem. Po lewej stronie, w znacznym od środkowej grupy oddaleniu, Kansetzer z teką w ręku i Pink, autor grupy Sobieskiego, z modelem gipsowym tej kompozycji. Na drugim planie widać kilka kontuszowych postaci, ledwo naszkicowanych; w głębi pałac Łazienkowski, za mały, jak na odległość tak blizką.

Oprócz króla i Grabowskiej, składających pełną wdzięku grupę, reszta postaci bez celu rozproszona na płótnie razi błędami w rysunku; twarze monotonne, podobne do siebie. Ciepły koloryt, staranne wykończenie szczegółów, materyi użytych na stroje, nie może zastąpić braku życia w twarzach i ruchach zgromadzonych osób, ani obudzić zajęcia dla obranego przez artystę przedmiotu.

Ubogi z natury swej pomysł, podejmują z kolei artyści jeden po drugim. Za ledwie skończyło się z wizytą królewską u Wita Stwosza (Głębockiego), musimy oglądać artystów zgromadzonych w Łazienkach i równocześnie „Artystów medalierów kłękających przed Zygmuntem Starym“. Ciekawy ten widok zawdzięczamy panu Feliksowi Sypniewskiemu. Zygmunt I, młody jeszcze mężczyzna w fotelu, przy stoliku na przeciw kominka, siedzi w futrzanej czapce i futrzanym szlafroku, widać z powodu dokuczającego mu reumatyzmu. Przy nim stoi młodzianka blondynka, zapewne królowa, jak się tego można domyślać z ogona, podtrzymywanego przez karlicę, i opiera rękę na głowie kilkonastoletniego wyrostka, nie mogącego w żaden sposób być synem tak młodej kobiety, ani też paziem, stałby bowiem na uboczu. Pokój zapewnia kilku dygnitarzy świeckich i duchownych. Wprost króla stoi grupa artystów, z których jeden na kłęczkach pracę swoją królowi podaje. Ugrupowanie figur i ich pozy harmonijne i wdzięczne, wykończenie staranne, ale cóż kiedy wszystkie te twarze nic nie mówią i nie znaczą. Rzecz cała redukuje się do ekspozycji włoskich czy hiszpańskich kostiumów.

„Święty Ludwik odbierający błogosławieństwo na wyprawę krzyżową“ pana Pantaleona Szynclera, jest obraz dużych rozmiarów, znacznie większej wysokości niż szerokości, który prawie zupełnie zajmują dwie osoby: biskup odwrócony od ołtarza i pochyłony nad królem i król kłęczący dla otrzymania błogosławieństwa; oba w uroczystym, odpowiednim godnościom swoim i chwili przyborze. Dlaczego jest to właśnie święty Ludwik, idący na wyprawę krzyżową? Nic w obrazie nie objaśnia. Mogłoby to być każdy inny król, na jakąkolwiek inną dążący wyprawę. Dodajmy do tego, że wszystko to malowane niestannie, a będziemy mieli wyobrażenie o wartości utworu.

Z potocznych obrazów zasługuje na uwagę utwór pana Hipolita Lipińskiego. Do wioseczki gdzieś w górach Karpackich położonej przybywa „Oygan z niedźwiedziem“ i trzymając go na łańcuchu, przedstawia zgromadzonej publiczności na placu przed karczmą. Z wielką werwą i prawdą oddał artysta zbiegowisko mężczyzn, kobiet, chłopaków, dzieci, i wrażenia każdego z tych indywidualiów. Ci przypatrują się spokojnie choć ciekawie, ci bojaźliwie poobsiadali dachy, ci drażnią się z misiem. Ruch, ożywienie, wykończenie, stanowią zalety tego obrazu. Koloryt silny, ale nie szarmonizowany dostatecznie; są też uchybienia w perspektywie.

P. J. Chelmonski od jakiegoś czasu rozmiłował się w śniegu, jak to zresztą rzecz słuszna w zimie. Już w poprzednim sprawozdaniu z wystawy (grudzień r. z.), wspominaliśmy o jego obrazie przedstawiającym sanki z dwoma mężczyznami, chyżo do miasteczka pędzące, po rozjeżdżonej sannej drodze. Od tego

czasu przybyły nam jeszcze dwa zimowe obrazy tegoż artysty. „Przed wójtem“ przedstawia cały rząd domów wiejskich po jednej stronie drogi, w dalekiej ginącej perspektywie. Osłepiającej białości śnieg pokrył te chaty i drogę; śnać tęga zima. Na początku rzędu, po lewej stronie obrazu przed domem wójta, roi się ciżba interesantów, pieszo, konno i sankami, w kożuchach, sukmanach, z nosami zaczerwienionymi od mrozu. Wójt z medalem na szyi, z panem pisarzem obok, stoi przed drzwiami i słucha poważnie jakiejś sprawy. Otacza ich różnorodna wieśniacza gromada. Na podjezdźku, w futrzanej czapie, owinięty czerwonym szalikiem, jakiś od waszeć przybywa, a jednocześnie z drugiej strony Żyd siedzący bokiem na prostych saneczkach, zakręca koniem. Dużo tu werwy, charakterystyki i siły, ale przechodzącej w brawurę, gardzącej wykończeniem.

Drugi zimowy temat tegoż artysty: „Powrót z zabawy karnawałowej“, nie ma już zalet poprzedniego, ale za to wszystkie jego wady do ostateczności posunięte. Po śniegu kłębiącym się w tumany pędzi para czarnych rozhukanych koni i unosi sanki. Wóźnica pochylił się na przód z lejcami w ręku; osoba siedząca w tyle leży na wznak przechylona, prawie wypada z sanek. Ma to przedstawiać ucieczkę przed wilkami, ale rysunek jest tak zagwazdany, szczegóły nieuwydatnione światłocieni tak, iż mało co więcej rozpoznać można nad czarne plamy od siwego fałszywego tła odbijające. Śnieg wygląda jak mydliny; a cienie od koni i sanek zupełnie fałszywie oznaczone. Szkoda iż artysta rzeczywistym talentem obdarzony, taką fałszywą manierą dał się skusić. Miejmy nadzieję, iż taka dygresja nie potrwa długo.

P. Streita Franciszka „Pociecha matuli“; przedstawia wnętrze chaty. Do niemowlęcia w poduszkach leżącego na stole, pochyła się młoda matka, wieśniaczka, obok stoi dziewczynka, zapewne piastunki obowiązek pełniąca. Całość tego maleńkiego obrazka wdzięcznie się przedstawia. Jest prostota i czułość bez afektacji. Nie możemy tego powiedzieć o drugim obrazku tegoż artysty pod tytułem: „Pierwsza przechadzka“, a przedstawiającym mężczyznę średniego wieku, prowadzącego pod rękę kobietę po ogrodzie. W pewnym za niemi oddaleniu postępuje wiejska kobieta z niemowlęciem w poduszce na ręku. Trzebaż sobie mózg suszyć, żeby na podobny temat natrafić. Koloryt i opracowanie niższe też o wiele od poprzedzającego utworu.

P. J. Brodowskiego „Krówki“ ładne są, sądzący jednak, iż jeżeli artysta ten starannem studjowaniem potrafił zyskać wprawę w malowanie krów i koni, to mógłby jeszcze trochę przyłożyć starania i lepiej malować drzewa, łąki i trawy, bez których przecież te biedne bydła obejść się nie mogą.

P. Miniewskiego Bolesława „Sielanka krakowska“ jest małym obrazkiem przedstawiającym chłopca i dziewczynę gruchających przy płocie. Tylko to szkoda, że i kostiumy krakowskie i miny wymuszone tej pary, budzą podejrzenie, iż to są amanci zbiegli z warszawskiego baletu i że chyba płót jeden tylko rzeczywiście krakowski.

„Wojciech“ i „Wojciechowa“ są dwie akwarelle p. Kostrzewskiego stanowiące całość. W pierwszym Wojciech w olbrzymiej baraniej czapce, w kożuchu, z nachmurzoną miną, oparł się o szynkwias obok kwatki wódki; w głębi Żyd pisze na tablicy kredką, zapewne podwójną. Na drugim Wojciechowa z gestami wielkiego frasunku opowiada księdzu proboszczowi coś, zapewne sprawki Wojciecha. Ksiądz proboszcz z tabakierą w ręku, widać już bardzo z takimi historiami osłuchany, dość obojętnie choć cierpliwie przyjmuje te zwierzenia. Drobnostka ta należy do lepszych humorystycznych szkiców p. Kostrzewskiego.

Pana Kazimierza Mireckiego „Dziewczyna z okolic Neapolu“ z dzbankiem na głowie, jest co do pomocy popolitością, równie jak i drugi obraz tegoż artysty: „Popiersie Florentki“, ale utwory te zaleca gorąco, soczysty koloryt i staranne wykończenie.

Takimże wykończeniem zaleca się studyum „Głowa starca“ p. Ksawerego Pilatego; tylko ton zimny, szary, ujmę robi tej pracy. Dwa studia „Starzec“ i „Staruszka“ p. Kowalskiego Alfreda, już świadczą o przejściu się nieznośną monachijską manierą którą wielokrotnie wytykaliśmy w pracach Szydlera,



Chełmońskiego i innych, dawniejszych uczniów tamecznej szkoły.

Z portretów, pana Karola Müllera, jak zwykle, zwracają uwagę przyjemnym kolorytem i wdzięczną pozą, jak np. „Portret damy“ z perłami we włosach i na szyi i „Portret mężczyzny“. Pana Tytusa Małeszewskiego portrety olejne mają coś z miękkością i wagi pastelowych robót, naprzeciw jego pastele do właściwej sobie świeżości i delikatności odcieni, dołączają siłę, zbliżając je do robót olejnych. „Portret damy“ w klejnotach i powiewnych drapekach, odznacza się więcej zręcznym naśladowaniem strojów, niż modelacją twarzy.

Do prawdziwych ozdób naszego salonu w ubiegłym kwartale liczą się dwie architektoniczne reprodukcje Łazienek p. Gryglewskiego: „Wnętrze sali Salomona“ i „Wnętrze sali balowej“. Perspektywiczne złudzenia, gra światła i cieni, drobniaczka wierność i utrzymanie efektu ogólnego, doprowadzone tu do szczytu. Ażeby uniknąć czczości, jaką sprawiają zawsze przestrzenie nieożywione żadną żywą duszą, i ażeby odwzorowaniu tak prozaicznej rzeczy, jak sala, nadać pewne poetyczne znaczenie, artysta użył archaizmu, zamieściwszy w jednej z sal przeszliżgającego się przez nią pająka, w drugiej jakąś parę osób w kostiumach przeszłego wieku. Drobnostki te, mniej biegłe od całości obrazu dokonane, osiągają jednak cel zamierzony, ożywiają i uszlachetniają piękne, ale bez ludzkiej postaci zimne architektoniczne przestrzenie.

Krajobrazów tym razem mamy obfitość, choć o nich możnaby odwrócić łacińskie przysłowie i powiedzieć: *non multum sed multa*. Co do obfitości, p. Władysława Góscimski zasypał Wystawę swemi olejnymi i wodnymi różnymi stron świata widokami. Jakkolwiek środki malarskie pana G. widocznie jeszcze nierozwinięte, w utworach znać zamiłowanie i pojęcie natury. „Zwaliska zamku pod Kołem“, „Małe miasteczko“, „Z nad Wisły“, a szczególnie „Wieczór zimowy“, zapowiadają dobrego pejzażystę. Pana Gumńskiego Władysława „Przy zachodzie słońca“ jest fabrykat z tematów już zużytych sklepany. Pana Małeckiego Władysława. „Zamek królewski w Krakowie“ dużych rozmiarów i starannie wykonany krajobraz, razi zbyt wiele przestrzeni zajmującą ławką, nader jaskrawej zieloności. Cudne „Brzegi Sorrento“, tylokrotnie malowane przez artystów i opiewane przez poetów, zżółkłyby i uschły z przerażenia, gdyby się przejrzały w krajobrazie, jaki na ich temat skomponował pan J. Suchodolski. Nielepiej przedstawione zostało „Frosinone“. Pani Majewskiej „Brzeg lasu“ cechuje pracowite studyowanie, brak jednak szarmonizowania całości, przetopienia pojedynczych motywów w jedną całość, za dużo efektów, a niema ekspresji.

Do najlepszych utworów w tym dziale należy p. Ruśkiewicza „Na ponowie“, gdzie charakter zimowy krajobrazu dobrze oddany; wykonanie staranne, a mniej twarde, niż zwykle bywa w utworach tego artysty. „Tatry, okolica Gąsiennicowych stawów“ p. Feliksa Brzozowskiego, gdzie stopniowanie oddaleń ze zwykłym talentem oddane, tenty jednak nieoznaczają się czystością; i pana Aleksandra Świeszewskiego „Krajobraz z okolicy Piotrkowskiego“. Nieprzejrzany okiem łan zboża, krzątający się żniwiarze, po prawej stronie przedzielająca pola drużyna, przy niej krzyż, dalej konno gospodarz czy rzadca dozoruający żniwa, w głębi las, a nad tem wszystkim pogodne sierpniowe niebo, głębia powietrzna, z wielką prawdą oddana. Harmonijny czysty koloryt i wykończenie należą do zalet tego obrazu.

W dziale rzeźby mamy do zanotowania „Niewinność“ pana Gundelacha, popiersie marmurowe kobiety, mniej niż naturalnej wielkości. Dlaczego to ma być ideał niewinności? — kto zgadnie, dostanie konia z rżędem. Jeżeli dlatego, że nie patrzy wprost przed siebie, że główkę trochę na lewo i ku dołowi zwróciła, to cecha nieautentyczna: owszem niewinność często śmiało patrzy i głowę podnosi w górę. Praca ta niezłe wmodelowana, mogłaby mieć wartość jako portret, ale charakterystyki żadnej nie ma.

Piękny ołtarzyk ścienny, reprezentujący „Mękę Pańską“, nadesłał Teofil Lenartowicz. Na czarnej drewnianej tablicy prostokątnej, z trójkątnym u góry zakończeniem, jest w środku czarny duży krzyż z brązową figurą Jezusa Chrystusa; zaś nad figurą jeden i po każdej jej stronie po trzy, razem siedm obrazów galwanoplastycznych, wystawiających

w płaskorzeźbie na miedzi historię męki Zbawiciela. Pierwszy obraz po lewej stronie przedstawia Ogrójec, modlitwę Chrystusa i uczniów śpiących w oddali; drugi naprzeciw biczowanie, pretoryum; trzeci umycie rąk Piłata przed tłumem krzyżującym: *ukrzyżuj go!* skrepowanego baranka jako symbol; u dołu Judasza z workiem pieniędzy; czwarty Chrystusa przed Piłatem; piąty ukrzyżowanie: żołnierz rzymski na koniu zatapia dżdż w boku Chrystusa, opodal mdleje Matka Bolesna, święty Jan i kobiety ją podtrzymują; szósty złożenie do grobu; siódmy u góry nad krzyżem Zmartwychwstanie. Wszystkie te obrazy nacechowane są wielką prostotą, szlachetnością stylu, pięknem ugrupowaniem, dramatycznością osiągniętą małemi środkami. Tylko efekt jest zmały, z powodu użycia takiego środka wykonania, jak galwanoplastyka. Układ niektórych postaci błędny np. ciało Chrystusa w złożeniu do grobu.

## Z WIEDZY PRZYRODNICZEJ.

Obrazy świata pierwotnego.

(Dalszy ciąg).

Wyobrażenia poetów zrodziła smoka, odgrywającego wielką rolę w baśniach i w mitologii pogańskiej. Smok czyli płaz skrzydlaty tych powiastek, walczy z człowiekiem o posiadanie ziemi, a bożki i półbożki do najsłynniejszych swych czynów zaliczają zwycięstwa odniesione nad tym straszliwym bajecznym potworem. — Z legend ludowych smok przeszedł po poezji greckiej i łacińskiej, a następnie do czadów nowożytnych. — W wierszach Tassa i Aryosta smok odgrywa rolę bohatera. — Uświęcony wiarą ludów pierwotnych, wprowadzony do mitologii pogan, do poezji narodów starożytnych i nowożytnych, smok według wyrażenia się Lacepède'a, „był wszędzie i wszędzie po za granicą przyrody“.

Pterodactylus jurasowy jest jedynym zwierzęciem, odpowiadającym temu typowi bajecznemu w religii i poezji starożytnych — tylko jak to widzimy, schodzi on do bardzo skromnych wymiarów.

Dziwnyż bo obraz przedstawia nam ziemia owoczesna. — W falach morza plądrują Ichthyosaurusy i Plesiosaury; unoszą się na nich rzesze ammonitów, toczące się niby koła powozowe, wyzierając z muszli trwożnym okiem i wysuwając pięciopalczaste swe członki opatrzone wąsami.

Na pobrzeżach mórz i jezior pełzają olbrzymie żółwie i krokodyle — żaden zwierz ssący, żaden ptak nie zakłóca głosem ciszy w powietrzu, przerywanej jedynie sykami płazów lądowych i brzęczeniem owadów skrzydlatych.

Ziemia oziębiła się nieco w epoce jurasowej — nie spadały już deszcze nieustanne, nie były zresztą tak obfite — ciśnienie atmosfery znacznie też osłabło. Wszystkie te warunki wpłynęły na rozwój niezliczonych gatunków zwierzęcych, których osobliwe kształty ukazywały się na powierzchni kuli ziemskiej. — Możemy powziąć wyobrażenie o mnóstwie mięczaków i zwierzokrzewów cechujących tę epokę, biorąc pod uwagę rozległe warstwy ziemne przez nie wytworzone, dochodzące kolosalnej grubości.

Też same warunki sprzyjały rozkwitowi roślin — bogata wegetacja krzewiła się na nielicznych łąkach. Temperatura jeszcze wielce wysoka, wilgotność powietrza, silniejsze promienienie słońca, przyczyniały się do zbytowego rozwoju flory, o jakiej nam krainy zwrotnikowe mogą dawać słabe tylko wyobrażenie. — Wytworne wolce tryasu znikły, lecz pozostały skrzypy rozwijające swe przepyszne pioropusze, olbrzymie trzciny i paprocie, które przecież nie były już tak rozrosłe jak w epoce poprzedniej. — Wystąpiły też okazałe sagowce z rodzajów: *Zamites* (*Zamites* *Pterophyllum* i *Nilsonia*).

Zamje, drzewa wykwiłne, zapowiadają mające po nich nastąpić palmy w przyszłym okresie geologicznym. Na lodydze prosto wybiegłych zamij wzniósł się gęsty wieniec liści długich na sześć stóp, w wachlarz rozpostartych. — *Pterophyllum* stanowiły wielkie drzewa pokryte od stóp do szczytu szerokiemi liśćmi pierzastymi, dochodzącymi znacznej wysokości. — *Nilsonie* zaś miały liście grube skórzaste.

Lejas ma barwę ciemną, składa się z szarych wapieni i z margli, z czarnych iłów i łupków bituminiowych. — Grubość jego pokładów dochodzi przeciętnie 550 stóp polskich.

Następujący peryod zwany oolitowym, czyli *wapienia ikrowatego*, otrzymał nazwę od tychże kamieni wapiennych, złożonych z kulistych ziarek wielkości prosa, podobnych do ikry rybiej, przedstawiających w rozłamie budowę warstwowaną. — Większe ziarna wchodzące w skład tych wapieni, nazywamy w naszym języku *grochowcami* (pizolity), pokłady oolitu dzielimy na *dolne, środkowe i wierzchnie*.

Charakterystyczną cechą utworu oolitu dolnego, jest przejawienie się pierwszych zwierząt ssących pokrewnych dydelfom, czyli rzędowi *workowatych*. — Do takich zaliczamy *Thylacotherium*, czyli *Amphitherium* i *Phascotherium*, których szczątki wykryto w dolnym wapieniu ikrowatym.

Fauna morska obejmowała: płazy, ryby, zwierzokrzewy i mięczaki. Do pierwszych zaliczamy oprócz pterodactylów, wielkiego jaszczura zwanego *Teleosaurus*. — Z ryb ukazały się rodzaje: *Ganodus* i *Ophiopsis*.

Z Amonitów wymieniamy gatunki: *Bullulus Brongniarti*, *Nautilus lineatus* — z mięczaków głowonogich: *Tetebatulata digona* i *spinosa*, należące do ramionowców. — Z jeżowców i polipów: *Apiocrinus elegans*, *Anabacia orbulites*, *Cryptocoenia bacciformis*, *Eumomia radiata* i t. d.

Roślinność tej epoki przyjmuje pewną odrębną fizjonomię, — przez wystąpienie niektórych roślin *pańdanowatych*, do palm podobnych.

Nie znaleziono wprawdzie ani liści, ani korzeni tych drzew w stanie kopalnym, wykryto przecież ich owoce kuliste znacznej objętości, które nie pozwalają wątpić o obecności wspomnianych roślin w tej epoce.

Wielka rodzina drzew szyszkowych, do których dziś należy: sosna, jodła, świerk, modrzew i t. p. posiadała też w oolicie swych reprezentantów z rodzajów mianowicie: *Tui*, *Taxites* i *Brachyphyllum*. Pierwszy rodzaj przedstawiał prawdziwe Tuje wieczyście zielone, o małych listkach przypominających cyprys — drugi zbliżał się niewątpliwie do cisów — trzeci podobnym był do *Arthrotaxis* ziemi Diemen i *Widdringtonii* Afryki południowej.

Warstwy oolitu dolnego, grubości 600 stóp w Anglii dochodzące, napotykamy zwłaszcza w Normandii, w okolicach Bayeux. Składają się one z wapieni żółtawych, brunatnych lub czerwonych, zawierających związki żelaza. — Florę lądową oolitu środkowego składały głównie paprocie, sagowce i drzewa szyszkowe wyżej wymienione.

Owady przejawiają się głównie w tej epoce. Z pomiędzy *półpokrywych* (Hemiptera) występują mszyce — koskrzydłych (Hymenoptera) pszczoły — z łuskoskrzydłych (Lepidoptera), motyle — z żyłkoskrzydłych (Neuroptera), szklarki.

W łonie mórz lub na pobrzeżach utrzymują się jeszcze *Ichthyosaurus*, *Pterodactylus Crassirostris* i *Geosaurus*, jestestwa niedokładnie poznane.

Pokrewnym pterodactylowi był *Ramphorhynchus*, odróżniający się od niego długim ogonem, opancerzonym łuskami. — Wielkością nie przechodząc kruska, z pomocą dwóch spadochronów pomieszczonych z boków ciała nakształt skrzydeł, mógł on się przetrzącać z drzew na ziemię.

W oolicie środkowym napotykamy ślady osobliwego zwierza zwanego: *Teleosaurus*.

Potwór ten daje nam dokładne pojęcie o krokodylach mórz geologicznych, o tych płazach pancernych, których Cotta, paleontolog niemiecki nazywa: „wielkimi baronami w królestwie Neptuna, zbrojniami od stóp do głów, okutymi w krzepki kirys — prawdziwymi korsarzami mórz pierwotnych“.

*Teleosaurus* ustrojem anatomicznym podobne były do krokodyłów, a raczej do gawiałów Indii — zamieszkiwały morze i jego pobrzeża. — Zawsze, ruchliwsze od kajmanów dzisiejszych, przechodziły ich długością ciała. W rzeczy samej w Normandii w okolicach Bayeux teleosaurus miały 35 stóp długości, licząc w to i głowę 6—7 stóp mającą. Opatrzone ogromną paszczą, rozdartą do samych uszu, przedstawiającą otwór 7-stopowy, mogły z łatwością chlonać w tej straszliwej czeluści zwierzęta wielkości wołu. — Brzech *Teleosaura* otoczony był również jak grzbiet, krzepkim panczem.

Liczne gatunki ryb, skorupiaków, małżoraków wążonogich, mięczaków i zwierzokrzewów, charakte-



ryzuja oolit środkowy — polipy dosięgły wówczas najwyższego stopnia rozwoju, ze skupień ich polipników powstały rozległe obszary pokładów, które w wielu miejscach podwyższyły łożysko morza. — Szerokie ławice wapienia z ich skorup wyformowane zostały, tysiące bowiem wieków składało się na wytworzenie grubości tych pokładów: — W warstwach oolitycznych znajdujemy dość często ławice, powstałe z pancerzy *Thecosmilia annularis*, *Thamnastrea*, *Phytogyra magnifica*, *Deudrastraea ramosa*, grubości 15 lub 17 stóp mające, a na kilka mil rozległe. W oolicie wierzchnim, podobnie jak w utworze środkowego ikrowca, żyły zwierzęta workowate z rodzaju *sphalacotherium*. Na pobrzeżach morskich zamieszkiwały obok plesiosaurów i teleosaurów: krokodyl *macrorhynchus*, potworny *poecilopleuron*, opatrzone ogromnymi pazurami i ostremi szpilkowatymi zębami — jeden z najstraszliwszych zwierząt tej epoki — tudzież rodzaje jaszczurów *hyleosaurus*, *ceiosaurus*, *stenosaurus*, *streptospondilus*, a z żółwi rozradzały się: *Emys* i *Platemys*.

Wszystkie te twory są bardzo mało znane, dla tego też nie możemy szczegółowo określać ich organizacji.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## ZARYSY AZYI ŚRODKOWEJ.

(Przez N. Karazina).

(Dalszy ciąg).

Skreśliśmy na drogę wiodącą w dół rzeki. Wiatr wiał nam w plecy i igrał z gęstymi ogonami naszych koni. Po śniegu lekka warstwa pokrywająca ziemie jechać było dogodnie, czasami tylko kopyta końskie zadzwęczały, uderzając o odłamy ciosowego kamienia tu ówdzie sterczące na drodze. Skorupa lodowa pokrywająca rzeczkę Czylik gdzieś niedługo była rozzerwana, a nad siwymi wężykowatymi rozpadlinami unosiła się lekka pora. Mróz coraz silniejszy czuć się dawał.

W półtorej godziny dojechalismy do niewielkiej chaty, albo raczej zimowego legowiska Kałmyków. Już zdaleka dostrzegaliśmy jakąś czarną masę przylepioną do samego brzegu. Małe brudne istoty krzątały się około swoich mieszkań i zobaczywszy nas zbliżających się jakby przeleknione czegoś pouciekały do nór; tylko sześciu ludzi pozostało na dworze i wyszło na nasze spotkanie. Byli to mężczyźni a uciekli do wnętrza chaty żony i dzieci. Dwudziestu psów różnej maści wychudłych, wściekle szczekając i skacząc, okrzyki nasze konie; Bajtak uciekł się do pomocy swojej długiej kirgizkiej nahajki i nią trzymał w pełnym uszanowaniu oddaleniu ujadającą zgraję.

Zimowe legowisko kałmyków składało się z dwóch lub trzech baraków otoczonych sitowiem i mających małe otwory, przez które wchodziło się do wnętrza, oraz z na wpół rozwalonej ścianki glinianej, za którą stało kilka tegich mudów i jeden wysoki chudy wielbłąd obwieszony jakimiś brudnymi szmatami. Tutaj rozłożyliśmy się, ażeby trochę odpocząć. Wejść do baraków nie mogliśmy się zdecydować; tak straszny cuchnący odór razem z czarnym gryzącym w oczy dymem wychodziły z za otworów tych brudnych legowisk. Odnaleźliśmy w pobliżu miejsce dosyć suche i swobodne od śniegu, na którym przywiązaliśmy konie i rozestaliśmy wołki. Bajtak wydawał rozporządzenia, jak gdyby był tutaj panem; rozkazując wykrzykiwał, każąc przynosić to lub owo, zajrzał do wszystkich baraków, uderzył w plecy jednego z gospodarzy, który nie posłuchał go na razie i nawet nie zawahał się udać w załoty

do jednej z tutejszych piękności o wązkich oczkach. Skutki jego zabiegłości wnet się okazały; w kwadrans już piliśmy gorącą aromatyczną herbatę, a o trzy kroki od nas wesoło trzeszczał niewielki ogień, nad którym piekły się zawieszona na żelaznym pręcie kawałki tłustej baraniny.

Ludność tego legowiska, która z początku powitała nas z niedowierzaniem i bojaźnią, wkrótce ośmieliła się i powoli zaczęła okrażać nasze obozowisko z ciekawością śledząc każdy ruch. Składała się z siedmiu dorosłych mężczyzn, wliczając do tej liczby i dwóch sędziwych starców z siwymi włosami, z jedenastu kobiet i całej kupy dzieci różnego wzrostu i płci. Odzież na nich była bardzo nędzną, jeżeli nawet godzi się użyć tej nazwy dla określenia tego co przykrywało ich ciała; jedna tylko dziewczyna miała na sobie szlafroczek w pasy, który zachował formę i barwę. Brzydkiem, bardzo brzydkiem jest to plemię; płaska twarz w dole szersza niż u góry, wązkie szczeliny zamiast oczów, spłaszczony szeroki nos, wązkie, wybladłe usta wiecznie złożone do jakiegoś dziwnego, prawie idyotycznego i zarazem niewypowiedzianego smętnego uśmiechu, szerokie połykające zęby, u kobiet pomalowane na czarno, wzrost niski, krótkie i jak gdyby wykrzywione nogi, długie ręce kołyszące się na bokach: oto zewnętrzne cechy tego plemienia. Jeżeli do tego dodamy charakterystyczny kosmyk włosów pozostawiony na ogolonej głowie i odrażająca woń czosnku, potu, tabaki, to otrzymamy obraz miłego obrazu jednoczącego w sobie przymioty otaczającego nas towarzystwa. Kobiety nie odróżniały się ubiorem od mężczyzn, można je było rozróżnić przyglądając się podbródkom niepokrytym czarną sierścią; nie mogły się bowiem zdecydować na nazwanie tego włosami. Pomiędzy dziećmi znajdowały się i takie, na których widać nawet nie było śladu odzieży, chociaż mróz był dość silnym. Znajdowały się także i niemowlęta przy piersi, które z pod odzienia swych matek wystawiały czarne, kocie towarzyszeki.

Kirgizi nazywają biedne to plemię Kałmykami; urzędowo przezwano ich chińskimi kałmykami, zapewne dla tego że większość ich w samej rzeczy liczy się do poddanych Niebieskiego państwa.

Zimową porą zazwyczaj grupują się w pobliżu dużych rosyjskich wiosek, gdzie najmują się do różnych domowych i publicznych robót po największej części najbardziej przykrych i ciężkich. Rzadko kiedy kilka ich rodzin złącząwszy się razem, spędza tę porę zimową i nieogodną w własnych legowiskach, w rodzaju tego przy jakim znajdowaliśmy się. Wybitną cechą charakteru tych barbarzyńców jest lenistwo, indyotyczna obojętność na nędzę i złączone z niemi różne przywary i przesady.

Jedna z kobiet znajdujących się w tem niemiłym dla nas towarzystwie, miała zawieszoną na szyi razem z innymi amuletami małą figurkę z ołowiu, wielkości zwykłej figury, używanej do gry w szachy, coś podobnego do krzepego człowieka siedzącego po turecku na nogach; postać ta ucieczna była prześwidrowana w środku i nasuniętą na miedziany pręcik. Poprosiłem kobiety ażeby sprzedała mi tego bożka i natychmiast otrzymałem go za dwie drobne srebrne monety po 20 kop. każda; widocznie, ołowianiu przedstawiciele różnych bóstw, niezbyt drogo są tutaj cenieni. Jednakże dwóch talizmanów zaszytych w zielone szmatki, nie mogłem kupić nawet za droższe pieniądze i cały zapas drobnego srebra, jaki ofiarowywałem, okazał się bezsilnym na złamanie uporu pod tym względem. Dowiedziałem się na koniec o przyczynie takiej odmowy: w tych tajemniczych woreczkach mieści się środek niezawodny pokonania opornych serc męzkich. Mój Boże, pomyślałem, jakimże sposobem mogła kałmycka piękność sprzedać taki skarb drogocenny!

Niedługo gościliśmy u nowych swych znajomych i szczerze zapłaciwszy za usługę i spalone drzewo na ognisku ruszyliśmy w dalszą drogę.

Po kruchym cienkim lodzie przedostaliśmy się przez rzekę Czylik i udaliśmy się w góry. Znów

ciągnąć się zaczęły nagie skały i rozpadliny, a droga wiodła przez niewygodne spadziste ścieżynki. Wilgotna, zimna mgła otaczała nas ze wszystkich stron. Baranie czapki, jakie mieliśmy, na głowach, włosy, odzież, konie, wszystko było mokre. Przenikliwy i prerażający wicher jęczał i wyl wrywając się z pośród rozpadlin skalnych i wąwozów. Mergen Szeza surowym poświstem witał swoich gości. Ani jedna roślina lub krzew nie świeciły pośród śniegu; naokoło gdzie spojrzysz kamienie tylko czarne, siwe, zielonawe, czerwone, to w groźnych, widocznie i ostro zasysowanych skałach, to rozrzucone — cisnęły się z boków, zagradzały drogę z przodu, zwisały z wierzchu i dzwiczny metaliczny głos wydawały uderzane od czasu do czasu kopytami końskimi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nakładem księgarni S. ARCTA w Lublinie

wysła książka p. t.:

## RÓWNIANKA

czyli ZBIÓR POWIASTEK do opowiadania  
dzieciom od lat 3 do 7

ułożył

August Jeske

z obrazkami kolorowanymi

Cena (już w oprawie) kop. 75, z przesyłką kop. 85.

Nauka podawana drogą słowa żywego, drogą powiastki, bajki lub porównania, jest jednym z najcenniejszych środków wychowania elementarnego. Dziecię chce żyć, myśleć i mówić koniecznie, chce być człowiekiem co najprędzej i podążać ustawicznie za starszymi, ale siły jego, duszyczka, zmysł i mowa są jeszcze nazbyt słabe. Więc się zwraca do nas, abyśmy mu dopomogli i wydobyli z tego położenia, z tej katuszy, w której się kołatać musi przez tyle latek. Zadaniem wychowania — zadaniem matki i nauczycielki — będzie tedy starać się osłodzić dziecku tę walkę z niemowlęcstwem wieku. Najmilszą w takich razach osłodą dla niego będzie powiastka lub bajka: — są to zwierciadła, w których świat i życie przedstawia się dziecku w całości, pełnych kształtach. Ale aby te zwierciadła odpowiadały zarówno potrzebom jego jak i wymaganiom pedagogiki, należy stosować je zawsze tylko do pewnego danego wieku, do pewnych danych zajęć i zasobów jego. I treść i ton i język powinny być zaczerpnięte jedynie ze sfery wieku i pojęć dziecka. Szkołdzi tu tak dobrze rozwlekłość jak i treściwość zbyteczna; szkodzi tu i pieśczośliwość i chłodna powaga; szkodzi tu i moralizm, szkodzi i nagi realizm. — W powiastkach naszych starał się unikać jak najtroskliwiej tych ostateczności, i w tej mierze szliśmy za głosem po części własnego, a po części zbiorowego doświadczenia pedagogów ze szkoły Fröblovskiej. Większa połowa tych powiastek uczennice Fröbla celują w opowiadaniach i gawędkach tego rodzaju: słuchaliśmy ich sami z uwagą natężoną i pod wpływem wrażenia świeżego zabraliśmy się do spisanania ich w tej samej formie, w jakiej były podane. Całość podzielona jest na cztery osobne rozdziały, t. j. na: 1) gawędki z malenkami; 2) baśnie i bajki; 3) powiastki wesołej i poważnej treści; 4) opowiadania z dziedziny przyrody.

Skład główny w księgarni Michała Glücksberga, ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 411 (7) w Warszawie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści Middlemarch.

TRZESÓ: Tradycja i praca kobiet w Holandyi, (dokończenie). — Zarnica, (dalszy ciąg), powieść bułgarska współczesna, przez Teod. Tom. Jeża. — Kronika naukowego, artystycznego i przemysłowego ruchu kobiet. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Z wystawy towarzystwa zachęty sztuk pięknych, (dokończenie), przez W. Bartkiewicza. — Z wiedzy przyrodniczej, (dalszy ciąg), przez Wincen. Niewiadomskiego. — Zarysy Azji środkowej, (dalszy ciąg), przez N. Karazina.